

Metsy Hingle

Szczęśliwe życie

scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- W porządku. Chwila prawdy!

Maria zdecydowanym ruchem zgasiła silnik samochodu i wysiadła. Pozbierała pakunki z tylnego siedzenia i skierowała się w stronę domu. Zanim weszła, zaczerpnęła głęboki haust chłodnego powietrza w nadziei, że w ten sposób łatwiej zapanuje nad nerwami.

Od dawna wiedziała, że nadejdzie dzień, kiedy będzie musiała powiedzieć Stevenowi o dziecku i o swoich planach na przyszłość. A jednak, mimo że od jej wyjazdu z Bostonu minęło ponad dwa miesiące, nadal nie bardzo wiedziała, jak ta przyszłość ma wyglądać. Pewna była tylko jednego. Kocha Stevena i równie mocno kocha swoją rodzinę. Bez względu na to, jaką podejmie decyzję, ucierpi na tym ktoś, kogo kocha. Co gorsza, dokonując wyboru, straci albo jego, albo ich. Niewykluczone, że wszyscy ją opuszczą.

Na samą myśl o tym poczuła ucisk w gardle. Z trudem przełknęła ślinę. Nie pierwszy już raz nie mogła pojąć, dlaczego los okazał się wobec niej tak okrutny. To jakieś fatum. Jakże inaczej wytłumaczyć fakt, że

zakochała się w mężczyźnie, którego nazwisko nie dawało jej najmniejszych szans na wspólną przyszłość.

Conti, westchnęła bezradnie.

Żeby nie wiem jak tego pragnęła, przeszłości nie da się wymazać. Rodziny Contich i Barone pałały do siebie nienawiścią jeszcze na długo przedtem, zanim ona i Steven przyszedli na świat. To wszystko zaczęło się blisko siedemdziesiąt lat temu, kiedy Marco Barone poślubił jej babcię, zrywając w ten sposób z Lucią, ciotką Stevena. Od tamtego czasu na jej rodzinie ciąży klątwa Contich.

Maria wzdrygnęła się na wspomnienie rodzinnej historii, którą jej, wtedy małej dziewczynce, opowiedziała babcia Angelica.

- Kiedy Marco i ja oznajmiłszy im, że wzięliśmy ślub, Lucia wpadła we wściekłość - mówiła Angelica Barone, opowiadając, jak po swojej romantycznej ucieczce udali się do Contich, żeby prosić o wyrozumiałość.

- Co mam zrozumieć?! - wykrzyknęła z furją Lucia. - Rozumiem jedno. Zdradziliście mnie, mojego brata, całą naszą rodzinę.

- Kochamy się - odparł spokojnie: Marco Barone.
- Nigdy nie chciałem zrobić ci krzywdy, Lucio.

- Cóż, jednak zrobiłeś. Zraniłeś nas wszystkich. Całą rodzinę Contich.

- Może pewnego dnia, kiedy będziesz starsza, zro-

zumiesz i będziesz umiała nam wybaczyć i życzyć szczęścia - odezwała się Angelica.

- Nigdy wam nie wybaczę - wycodziła zjadliwie Lucia. - A już na pewno nie będę wam życzyć szczęścia. Przeklinam was, słyszycie? Wzięliście ślub na świętego Walentego, niech więc odtąd ten dzień będzie dla was czasem smutku i goryczy. Tak jak dla mnie.

Dokładnie rok później, w pierwszą rocznicę ślubu, Angelica Barone poroniła swoje pierwsze dziecko.

Marię znowu przeszedł dreszcz. Wciąż miała w pamięci oczy babci, pełne bezbrzeżnego smutku, kiedy jej o tym opowiadała. Dotknęła brzucha tak, jakby chciała osłonić rozwijające się w niej życie. Dziecko miało się urodzić czternastego lutego. Gdyby przytrafiło mu się coś złego, nie zniosłaby tego.

Steven twierdził, że wszystkie tragiczne wydarzenia będące udziałem jej rodziny to tylko zbieg okoliczności, a klątwa Contich to nic. Więcej jak tylko rojenia wybujałej wyobraźni. Jednak Maria wiedziała swoje. To, co się stało chociażby w przeciągu ostatniego roku, było najlepszym dowodem, że klątwa rzucona przez Lucię Conti bynajmniej nie osłabła w swojej destrukcyjnej sile. To wszystko zaczęło się wkrótce po tym, jak ona i Steven zaczęli się spotykać.

Najpierw, w walentynki, ktoś dokonał sabotażu na promocji ich nowego produktu, a potem oczywiście nastąpiła seria krytycznych artykułów w prasie i utrata

zysków. Następnie wybuchł pożar w biurze „Baronessy”. Ale najgorsze było porwanie siostry Stevena, Bianki, i jej kuzyna Derricka.

Zresztą, nawet gdyby Steven ją przekonał i gdyby przemogła w sobie lęk przed tym, co jeszcze może się przytrafić, to czy kiedykolwiek byłaby w stanie pogodzić się z odrzuceniem jej przez całą rodzinę? A tak na pewno by się stało. Co do tego nie miała wątpliwości.

Gdyby ona i Steven zadeklarowali, że chcą być razem, obie rodziny by się ich wyrzekły. Wychowała się w dużym, radosnym i pełnym ludzi domu. Pragnęła tego samego dla swojego dziecka. Żeby dorastało wśród miłości najbliższych. Nie mogła pozwolić, żeby zostało uwikłane w ten niekończący się spór pomiędzy rodzinami Baróne i Conti.

Maria wyprostowała się, poprawiła podtrzymywane ramieniem pakunki i przekręciła gałkę u drzwi. Było otwarte, jak zwykle. Pośpiesznie weszła do środka, jakby bała się, że może zmienić zdanie. Po raz pierwszy tak dobrze znane zapachy palącego się drewna i świeżo pieczonego chleba nie poprawiły jej samopoczucia. Nie sprawił też tego dochodzący z głębi domu śmiech Magdaleny i Louisa Calderone.

- A wtedy moja ciotka Lucia powiedziała...

Maria drgnęła na dźwięk niskiego, ciepłego głosu Stevena i jedno z pudeł, które podtrzymywała ręką, upadło na podłogę.

- To pewnie Maria - usłyszała głos Magdaleny.

Strofując się w myślach za zachowanie płochliwej pensjonarki, Maria podniosła pakunek i próbowała upchać go w torbie.

- Mario, to ty?

- Jeśli nie ona, to jakiś włamywacz fajtłapa - zażartował Louis. Mówił z akcentem, który zdradzał jego hiszpańskie korzenie.

- Mario? - zawołała znowu Magdalena.

- Tak, to ja - odparła w końcu Maria, zaskoczona, że zabrzmiało to tak naturalnie. W środku była cała rozdygotana. - Jeszcze chwilę - dodała, próbując się opanować.

Ale Magdalena sama pośpieszyła do holu, żeby ją przywitać.

- Tak długo cię nie było. Już mieliśmy z Louisem kogoś po ciebie posłać.

- Przepraszam, jeśli się martwiliście. Skoro już byłam w mieście, postanowiłam, że zrobię świąteczne zakupy.

- Właśnie widzę. - Magdalena znacząco popatrzyła na torbę wypchaną podarunkami. - A u lekarza byłaś? - zapytała, odbierając jej pakunki i stawiając obok.

- Wszystko w porządku?

- Tak, jak najbardziej. - Maria ściągnęła rękawiczki i wepchnęła je do kieszeni płaszcza.

Magdalena pomogła jej uwolnić się z omotanego wokół szyi szalika, ale kiedy sięgnęła po wierzchnie okrycie, Maria gwałtownie zaprotestowała.

- Nie, nie będę się rozbierać. - Przytrzymała poły obszernego płaszcza, - Czuję się trochę przemarznięta - dodała łagodniejszym już tonem.

Maria wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała się pokazać, ale chciała odwlec tę chwilę najdłużej, jak to możliwe.

Magdalena dotknęła jej ręki, marszcząc brwi.

- Faktycznie. Ręce masz zimne jak lód. Na pewno dobrze się czujesz, *la pequena*?

Magdalena często tak ją nazywała. „Maleńka”. Po raz pierwszy nie zaprotestowała, chociaż tym razem byłoby to uzasadnione. Była wyższa od Magdaleny prawie o głowę, a jej brzuch zaczynał przypominać piłkę do koszykówki.

- Nic mi nie jest. Wieczór już blisko, więc zrobiło się trochę chłodno. Zaraz się rozgrzeję.

- No, jeśli tak mówisz, to dobrze - rzekła najwyraźniej uspokojona Magdalena i, kierując się w stronę pokoju, dodała z błyskiem w oku: - Chodź, czeka cię niespodzianka. Mamy gościa.

Maria nie ruszyła się z miejsca, ale ponaglana przez Magdaleny w końcu poszła za nią.

- Chodź, *pequena*, chodź. Przyjechał do ciebie aż z Bostonu.

Maria wiedziała, kogo się spodziewać, ale mimo to na jego widok zaparło jej dech w piersiach. Zupełnie jak za pierwszym razem prawie rok temu, na weselu Nicholasa i Gail. Nie miała wtedy bladego pojęcia, że

Steven jest jednym z Contich. Wystarczyło jedno spojrzenie, a wiedziała już, że jest tym, na kogo czekała całe życie.

Żaden mężczyzna nie wydał jej się nigdy tak pociągający jak on. Teraz też nie mogła się napatrzyć. Stał przed nią wysoki, wysportowany. Czarno-czerwony sweter miękko opinał muskularne ramiona. Z ciemnymi, nieco przydługimi włosami przypominał bardziej jakiegoś buntownika niż poważnego biznesmena z milionowym udziałem w branży komputerowej. Przez moment owładnęło ją wspomnienie miękkości jego włosów przesuwających się pomiędzy jej palcami. Poczowała wręcz ich dotyk na sobie, jak wtedy, kiedy się kochali...

Oprzytomniawszy nieco, strząsnęła z siebie te niebezpieczne myśli i śmiało spojrzała mu w twarz. Steven ruszył w jej stronę, a w miarę jak się zbliżał, spojrzenie jego niebieskich, przesywających oczu stawało się coraz gorętsze. Nie mogła oddychać, krew zaczęła szaleńczo pulsować jej w żyłach. Czuła się jak w pułapce, a kiedy wziął w dłonie jej niespokojne palce, przestraszyła się, że naprawdę zemdleje.

- Witaj, Mario - powiedział Steven, a w jego głosie zabrzmiała niewysłowiona pieśczoła.

Maria otworzyła usta, chcąc odpowiedzieć na powitanie, ale słowa uwieźły jej w krtani. Stała przed nim niczym w transie. Patrzyła, jak się do niej zbliża, jak pochyła głowę, żeby sięgnąć jej ust. Nagle oprzyto-

mniała i odwróciła twarz. Poczowała na policzku zaledwie muśnięcie warg, ale i to wystarczyło, żeby niezwykle ciepło wypełniło wszystkie zakamarki jej ciała. Drżąca i zalękniona gotowa była rzucić mu się w ramiona, roztropnie więc uwolniła ręce i zrobiła krok do tyłu.

- Cześć, Steven - rzuciła, siląc się na naturalność.

Grymas rozczarowania przemknął po twarzy Stevena.

- A nie mówiłam, że będzie niespodzianka? To miłe, że Steven wpadł z wizytą, prawda? - odezwała się Magdalena.

- Maria nie wydaje się specjalnie zaskoczona, pani Calderone - zauważył Steven. - Przepraszam, że się nie udało - dodał, spoglądając w stronę Magdaleny, na co ona odpowiedziała życzliwym uśmiechem.

- Naprawdę, Mario? Spodziewałaś się Stevena? - zapytała.

- No, niezupełnie - asekurowała się Maria, a wiedząc, że Magdalena i Louis nie dadzą się łatwo zbyć, wyjaśniła: - Wiedziałam od Karen, że Steven chce ze mną porozmawiać.

Nie mówiła całej prawdy, ale Steven tylko uniósł brwi i postanowił niczego nie prostować. Przysiągł Karen, że odnajdzie Marię choćby na końcu świata. To, że dopiął swego, nie mogło Marii dziwić. Steven Conti zawsze osiągał to, co sobie zamierzył. Nie przypadkiem dorobił się ogromnej fortuny, jeszcze zanim skończył dwadzieścia pięć lat.

- Cóż, w każdym razie ja i Louis bardzo się cieszy-

my, że jesteś tu z nami - powiedziała Magdalena. - Już od Święta Dziękczynienia nasza Maria nie mogła sobie znaleźć miejsca. Teraz wiemy dlaczego, prawda, Louis?

- Mrugnęła porozumiewawczo do Louisa.

- Wiemy? - powtórzył ze zdziwieniem, na co Magdalena przewróciła oczami.

- Ach, ci mężczyźni! Louis, przecież nasza Maria tęskniła nie tylko za rodziną, za Stevenem też.

- To prawda, Mario? Tęskniłaś za mną? - zapytał Steven, spoglądając na Marię z powagą.

W jego głosie było tyle smutku, że serce jej się ścisnęło. Nie ufając własnym reakcjom, odwróciła się do niego plecami i podeszła do kominka. Na ścianie nad kamiennym paleniskiem wisiał gobelin z indiańskimi motywami. Był tak piękny, że za każdym razem kiedy tu była, przykuwał jej spojrzenie. Teraz jednak myślała zupełnie o czymś innym. Odruchowo przyłożyła dłoń do brzucha i zapatrzyła się w płomienie pełgające po wielkich szczapach drewna. Szukała właściwych słów, żeby powiedzieć mu o dziecku, kiedy przyjdzie pora.

- Czy coś się stało? - zaniepokoiła się Magdalena.
- Mario?

Maria wypogodziła twarz jak na zawołanie.

- Słucham. Mówiłaś coś?

Magdalena podeszła do niej i przyglądając się jej podejrzliwie, dotknęła ręką jej czoła, a potem dłoni.

- Gorączki nie masz. I chyba zdążyłaś się już troszeczkę rozgrzać.

- Troszeczkę... - Maria chwyciła guziki płaszcza. Nadal nie miała ochoty odsłaniać wypukłości brzucha.

- A powiedziałaś lekarzowi, że miewasz dreszcze?
- nie dawała za wygraną Magdalena.

- Lekarzowi? - powtórzył z niepokojem Steven. - Byłaś u lekarza. Jesteś chora?

- Nie, to nic. Po prostu kontrolna wizyta - skwapliwie zapewniła Maria, błagając wzrokiem Magdaleny, żeby jej nie wydała. - Nie przywykłam jeszcze do zimy w Montanie i troszkę przemarzałam.

Ciemne oczy Magdaleny zrobiły się jakby większe. Pojęła wreszcie, o co Marii chodzi, i wcale jej się to nie spodobało.

- Może rozgrzeje cię gorąca czekolada? - zaproponowała.

- O tak, poproszę - odparła Maria.

- A dla ciebie, Steven? - zapytała Magdalena, ustawiając brudne filiżanki na tacy. - Jeszcze jedną kawę czy gorącą czekoladę?

- Jeśli to nie kłopot, poproszę o kawę.

- Żaden kłopot.

- Ja też się napiję - wtrącił Louis.

- A może pomógłbyś mi w kuchni, Louis?

- Ale...

- Steven i Maria na pewno mają wiele spraw do obgadania. - Magdalena rzuciła Marii: porozumiewawcze spojrzenie. - Wybaczcie nam na chwilę, dobrze?

- Oczywiście - odparła Maria.

- Pozwól, Louis - uśmiechnęła się Magdalena i wręczyła tacę zdezorientowanemu mężowi. - Spróbujesz moich bułeczek z cynamonem. Zastanawiam się, czy będą się nadawały na świąteczny kiermasz w kościele.

- Dla ciebie i kościoła wszystko - zadeklarował wesoło Louis i skierował się do wyjścia.

- Gdybyś czegoś ode mnie chciała, *pequena*, będę w kuchni - rzuciła przez ramię Magdalena i podażyła za mężem.

Po ich wyjściu zapanowała niezwykła cisza. Gdyby nie syk płonącego na kominku drewna, można byłoby nawet usłyszeć szpilkę spadającą na podłogę. Ale po długich miesiącach rozstania z Marią nawet ta nienaturalna cisza nie była w stanie zmącić Stevenowi przyjemności przebywania z nią. Jakże miło było na nią patrzeć!

Wciąż nienasycony, chłonał każdy szczegół jej wyglądu. Zauważył, że urosły jej trochę włosy. Ciemne jak mahoń i połyskujące jak jedwab sięgały prawie do ramion. Skórę miała jakby bledszą, a jednocześnie niezwykle promienną. To pewnie zasługa górskiego powietrza, wytłumaczył sobie. A ten rumieniec na policzkach? Czy to możliwe, żeby wywołała go jego obecność, a może tylko żar z kominka?

Spojrzał w duże, sarnie oczy. Podczas ich ostatniego spotkania, tuż przed jej nagłym wyjazdem z Bostonu, też miały taki zalękniony, niespokojny wyraz. I jej usta

- kuszące, namiętne... Zapragnął podejść do niej, wziąć ją w ramiona, całować te usta i słuchać, jak wypowiadają jego imię, jak szepczą o miłości...

- Jak mnie znalazłeś? - zapytała, przerywając milczenie.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Ważne, że znalazłem - odparł wykrętnie, ale po chwili przyznał: - Dzięki twojej karcie kredytowej. Korzystałaś z niej, żeby przesłać rodzinie kwiaty na Święto Dziękczynienia.

- Ale jak... - zaczęła i zaraz odpowiedziała sobie sama. - Komputer! Włamałeś się do systemu!

- Tak - przyznał. - Ale jeśli chcesz mi powiedzieć, że to nielegalne, to się nie trudź. Sam to wiem, ale musiałem cię odszukać. Za wszelką cenę.

- Mogli cię aresztować.

Steven wzruszył ramionami.

- I co z tego?

- Nie powinieneś być tak ryzykować.

- Byłem gotów posunąć się o wiele dalej, ale chyba mi się upiekło. Chyba że ty mnie wydasz.

- Przecież wiesz, że nie.

- Przez chwilę nie byłem tego taki pewny - zażartował, próbując poprawić trochę nastrój. Maria jednak nadal była przygnębiona. - Ja odpowiedziałem na twoje, więc teraz może ty odpowiesz na moje pytanie.

- Jakie? - spytała, marszcząc czoło.

- Czy to prawda, co mówiła Magdalena? Tęskniłaś za mną?

Jej milczenie sprawiło mu zawód, ale przełknął to jak gorzką pigułkę i bynajmniej nie zamierzał się poddawać.

- Zadałem ci proste pytanie, Mario. Masz tylko odpowiedzieć: tak albo nie? Tęskniłaś za mną? Chociaż odrobinę?

- Tak - odpowiedziała w końcu, zniżając głos prawie do szeptu.

Czując ogromną ulgę, Steven zrobił krok w jej stronę.

- Mario, gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo...

- Nie - powstrzymała go ruchem ręki.

Zatrzymał się w pół drogi, niczego nie pojmując.

- Co nie? Nie mówić ci, że cię kocham? Że przez te ostatnie dwa miesiące bez ciebie odchodziłem od zmysłów? Że uwierzyłem w twoją miłość, a ty wyjechałaś bez słowa?

- Zostawiłam ci kartkę - zaznaczyła.

- Rzeczywiście. Kilka linijek o tym, że musisz wyjechać i że potrzebujesz czasu do namysłu - powiedział z goryczą. Przeszedł się po pokoju, nerwowym ruchem ręki przeczesując włosy. - Czy wiesz, jak to bolało? - zwrócił się do niej. - Wyznaję ci miłość, chcę się z tobą żenić, a ty znikasz i mówisz, żeby cię nawet nie szukać.

- Przepraszam.

- Przepraszasz? - powtórzył Steven, podchodząc do niej blisko. - Mówisz, że mnie kochasz, a wkrótce potem wyjeżdżasz w siną dal. Łamiesz mi serce, wdeptujesz je w błoto, a teraz przepraszasz i już?

Maria podniosła ku niemu smutne brązowe oczy.

- Uwierz mi, Steven. Nigdy nie chciałam cię zranić. Nie panując nad sobą, Steven chwycił ją za ramiona.

- Ale zraniłaś, i to bardzo! - wybuchnęła. - Kocham cię, Mario, i do licha, wiem, że ty też mnie kochasz. Dlaczego więc nam to robisz? Powiedz, co jest nie tak. Cokolwiek to jest, naprawię to.

- Tego się nie da naprawić - odrzekła, uwalniając się z uścisku. Skuliła się w sobie, odwróciła do niego plecami i zapatrzyła w płomienie na kominku. - Nikt tego nie naprawi. Absolutnie nikt.

Uderzył go rozpaczliwy ton jej głosu i serce mu się ścisnęło z niepokoju.

- O co chodzi, kochanie? Wytłumacz mi, proszę.

Maria pokręciła tylko głową. Steven odwrócił ją ku sobie, podniósł jej twarz i spojrzał prosto w błyszczące od łez oczy. Ich głębia skrywała w sobie jakąś tajemnicę. Jakże była piękna! Zawsze mu się podobała, ale teraz było w niej coś jeszcze. Coś nieokreślonego, co skłoniło go, żeby przyrzeć jej się bliżej. Cała jej sylwetka ginęła pod szerokim, czerwonym płaszczem. Stała przed nim krucha, z rękoma złożonymi w szczególny sposób. Nagłe odkrycie poraziło go jak prąd.

- Zdejmij płaszcz - powiedział nieswoim głosem.

Patrzyła na niego jak wystraszona łania, którą zaskoczył blask świateł pędzącego na nią samochodu.

- Steven, ja...

- Zdejmij płaszcz, Mario - powtórzył z naciskiem i nieco łagodniej dodał: - Proszę.

Maria wolno rozpięła guziki, zdjęła płaszcz i rzuciwszy go na podłogę, spojrzała na Stevena z ukosa.

Utkwił wzrok w jej wystającym brzuchu. Gniew, radość, ból - w jednej chwili zawładnęły nim sprzeczne emocje.

- Powiedz mi, Mario... - przemówił wreszcie tonem najłagodniejszym, na jaki mógł się zdobyć.

- Co?

- Czy miałaś w swoich planach poinformowanie mnie, że będę tatusiem?

scandalous

ROZDZIAŁ DRUGI

Maria nie odpowiedziała od razu. Widziała Stevena w różnych sytuacjach. W interesach był ambitny i błyskotliwy, w stosunku do swoich najbliższych opiekuńczy i szczerze im oddany. W miłości namiętny i czuły. Przeżyli też z sobą parę trudnych chwil, ale nigdy przedtem nie widziała go w takim stanie. Wręcz kipiał ze złości, a wrażenie było tym większe, że mimo wszystko potrafił nad sobą zapanować.

Czuła tę jego wściekłość. Przeciskała się przez pory w skórze, kryła wokół kurczowo ściągniętych warg, złowrogo zaciśniętych szczęk, nerwowo pulsującego mięśnia na prawym policzku. Zmrożona spojrzeniem jego lodowatych, niebieskich oczu Maria zadrzała. Nie dlatego, że bała się przemocy z jego strony. Steven prędzej by sobie dał rękę odjąć, niż podniósłby ją na kobietę. Uderzyła ją zimna pogarda, jaką wyczytała w jego oczach.

- Zadałem ci proste pytanie, Mario. Byłbym zobowiązany, gdybyś zechciała mi odpowiedzieć.

Maria miała mętlik w głowie. Objąwszy się ramio-

nami, zacisnęła powieki i, z trudem opanowując emocje, rozpaczliwie szukała właściwych słów.

- Patrz mi w oczy, Mario - rzucił rozkazującym tonem, ale tak cicho, że musiała bardzo się starać, żeby go słyszeć. - Czy ty w ogóle zamierzałaś poinformować mnie o naszym dziecku? A może według ciebie nie zasłużyłem na taki zaszczyt?

Maria odważyła się wreszcie spojrzeć mu w oczy.

- Oczywiście, że miałeś prawo wiedzieć i chciałam z tobą o tym porozmawiać.

- Ciekawe, kiedy planowałaś to zrobić. Po jego narodzinach? - pytał z sarkazmem. - I ciekawe jak? Zamierzałaś przesłać mi akt urodzenia i dołączyć karteczkę: „A propos, gratuluję. Zostałeś tatusiem”. Czy tak?

Pogardliwy ton, z jakim wypowiadał te słowa, był dla Marii trudny do zniesienia, chociaż w głębi duszy przyznawała, że miał prawo się na nią gniewać. Ona sama miała dość czasu, żeby przywyknąć do myśli o macierzyństwie. Jemu takiej szansy nie dała.

- To nie tak, przysięgam. Zamierzałam ci o tym wcześniej powiedzieć. Dużo wcześniej. Właściwie zaraz po tym, kiedy sama się dowiedziałam, że jestem w ciąży.

- To dlaczego tego nie zrobiłaś? - zapytał z wyrzutem. - Do diabła, Mario, jak mogłaś leżeć w moich ramionach, kochać się ze mną, zapewniać mnie o swojej miłości, a potem utrzymywać coś takiego w tajemnicy przede mną?

Serce Marii ścisnęło się z żalu. Nad nim i nad sobą. Z czułością dotknęła jego policzka.

- Uwierz mi, nie chciałam niczego przed tobą ukrywać. Po prostu nie wiedziałam, jak ci o tym powiedzieć.

Pod wpływem jej słów Steven nieco złagodniał. Przytrzymał jej otwartą dłoń na swoich ustach i delikatnie pocałował. Serce Marii wezbrało miłością. Syciła wzrok bliskością jego pięknej twarzy - ostro zarysowanej szczęki, dumnego podbródka i poważnych, błękitnych oczu spoglądających na nią spod gęstych, ciemnych rzęs. W świetle kominka jego czarne włosy połyskiwały niczym oszlifowany onyks. Powstrzymała chęć odgarnięcia niesforenego kosmyka, który jak zwykle opadał mu na czoło.

- Przepraszam cię - powiedziała cicho. - Nie przypuszczałam, że dowiesz się o wszystkim w ten sposób. Miałam nadzieję, że...

- Cii... To już bez znaczenia - odparł, ujmując jej drugą dłoń. Przytulił jej palce do warg i znowu pocałował. - Jedyne, co się liczy, to fakt, że jesteśmy razem i że będziemy mieli dziecko. Dziecko - powtórzył zachwycony. - Wciąż trudno mi w to uwierzyć.

- Steven...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Czy ty masz pojęcie, jak ja się czułem przez te ostatnie miesiące? Zostawiłaś karteczkę i zniknęłaś. Byłem przekonany, że twoi rodzice dowiedzieli się o nas i zmusili cię do wyjazdu. Byłem na nich wściekły.

- Oni nie mieli z tym nic wspólnego. To ja sama. To był mój pomysł.

- Zrozumiałem to po rozmowie z Karen. Ale mimo to jakoś nie mogłem w to uwierzyć. W to, że tak po prostu wyjechałaś bez słowa, po wszystkim, co razem przeżyliśmy.

- Nie było łatwo - powiedziała Maria. - Nie wiedziałam, co robić. Przyszło mi do głowy, że jeśli wyjadę, będę miała więcej czasu, żeby to sobie przemyśleć.

- Karen mówiła to samo. Niemniej zacząłem podejrzewać, że coś się zmieniło między nami. Że uwierzyłaś w to, co twoja rodzina rozpowiada o Contich, i że może żałujesz już tej miłości.

- Nie mogłabym - zapewniła gorąco i czule pogładziła go po twarzy, a on znowu odszukał ustami jej dłoń.

Jakże mogła żałować tej miłości! Wzrastała pośród ludzi, którzy się kochali. Dobrze wiedziała, czym jest miłość i że to, co czuje xlo Stevena, jest prawdziwe. Jedyne, czego mogła żałować, to problemów, jakich tą swoją miłością przysporzą obu rodzinom. Z drugiej strony jej dziecko było czymś cudownym, prawdziwym darem niebios, którego nie sposób przecenić. Podobnie jak i miłości Stevena.

- Ani przez moment nie przestałam cię kochać - zapewniła gorąco.

- Bogu dzięki - odparł i przytulił ją.

Jakże wspaniale było znowu być przy nim blisko.

Tym razem nie broniła się przed jego czułością. Pocałunki były delikatne, namiętne i nienasycone. Dotknął językiem jej warg, a ona rozchyliła je, wychodząc mu na spotkanie.

Marii zakręciło się w głowie. Rozemocjonowana wsparła się na jego ramionach w obawie, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. Steven przywarł ruchliwymi wargami do jej ucha, rozniecając w niej ogień. Gwałtownie wciągnęła powietrze, a z nim tak dobrze znany zapach. Zapach mydła, świeżego śniegu, lasu... Ileż to razy w ciągu ostatnich miesięcy, mając ten zapach w pamięci, marzyła o jego ramionach. Teraz omdlewała w nich, a Steven pieścił pocałunkami linię jej podbródka.

Tak bardzo go pragnęła, ale przecież, nie było przed nimi przyszłości. Wiedziała o tym od początku. Byłoby nieuczciwie pozwolić mu na złudzenia.

- Steven... - wyszeptwała, próbując go powstrzymać, ale zaczął całować jej szyję.

Odchyliła głowę do tyłu, poddając się pieścizocie. Zetknięcie jego szorstkiej po bokach twarzy z jej delikatną skórą było zniewalającym erotycznym doznanie, a kiedy jeszcze poczuła delikatne muśnięcia jego języka, niemal zakwiliła z rozkoszy. Wczepiła się palcami w jego sweter, nie mogąc nie podziwiać naprężonych pod delikatnym kaszmiem mięśni.

- Jesteś taka słodka, niewyobrażalnie słodka - mruzczał, owiewając ciepłym oddechem jej rozpalone ciało.

Serce Marii waliło jak oszalałe.

Zanurzyła palce we włosy Stevena, pociągnęła jego twarz ku sobie.

- Mario, tak bardzo za tobą tęskniłem... - powiedział, nie przestając obsypywać jej pocałunkami.

- Ja za tobą też - przyznała oszołomiona.

- Najważniejsze, że jesteśmy znowu razem. Przysięgam ci, nie pozwolę, żeby cokolwiek znowu nas rozdzieliło. Będę najlepszym mężem i ojcem...

Maria nagle oprzytomniała.

- Steven, przestań - powiedziała, próbując wyswobodzić się z jego objęć.

- Co się stało?

- Nic, musimy trochę zwolnić. Za szybko to wszystko - powiedziała wymijająco.

- Wprost przeciwnie - odparł wesoło, spoglądając znacząco na jej zaokrąglony brzuch. - Wszystko wskazuje na to, że musimy przyśpieszyć. Kiedy nasz dzidzius ma się urodzić?

- W lutym - oznajmiła i z naciskiem dodała: - Dokładnie czternastego lutego, na walentynki.

- W takim razie na przygotowania nie mamy zbyt dużo czasu - ciągnął Steven, nieświadomy wagi, jaką Maria przywiązywała do tej złowróznej daty. - Najchętniej wzięłbym cichy ślub już teraz. Magdalena i Louis mogliby być naszymi świadkami,

- Steven, proszę cię...

- Jeżeli zależy ci na dużej ceremonii, to oczywiście nie mam nic przeciwko temu. Tylko jeden warunek.

Ślub musi się odbyć przed Bożym Narodzeniem. Chcę, żebyśmy przywitali Nowy Rok jako mąż i żona.

- Przestań!

Tym razem zaprotestowała tak gwałtownie, że Steven instynktownie odsunął się od niej.

- O co chodzi? - zapytał, przyglądając się jej spod przymrużonych powiek.

- Nie chcę słuchać o żadnym ślubie.

- Myślałem, że mnie kochasz.

- Kocham - zapewniła. Mówiła prawdę, a mimo to czuła się wewnętrznie rozdarta i zagubiona.

Steven ukląkł przy niej i przytrzymał jej dłoń.

- Więc wyjdź za mnie, proszę.

Maria uwolniła dłoń i odwróciła wzrok.

- Wiesz, że to nie takie proste.

- Ale i nietrudne - przekonywał. - Większość ludzi, którzy się kochają i do tego oczekują dziecka, bierze ślub.

- Nie należymy do większości - przypomniała Maria - ale do klanu Barone i rodziny Contich.

- Nasze dziecko ma w sobie krew jednych i drugich - zaznaczył Steven, podnosząc się z kolan. - Uda się nam, Mario. Na pewno. Po ślubie zamieszkamy u mnie, ale możemy też kupić dom.

Oczy Marii napełniły się łzami. Nie mogła go już dłużej słuchać. Chciała, żeby to, co mówił, było prawdą, ale nie mogła się teraz poddać. Gra toczyła się o naprawdę wysoką stawkę.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli już sobie pójdiesz - przerwała mu.

- Nigdzie się nie wybieram.

- W takim razie zechcesz mi wybaczyć - powiedziała afektownie, ale Steven nie ruszył się z miejsca. Stał dumnie wyprostowany, niezrażony i spoglądał na nią w milczeniu.

- Proszę, zjedź mi z drogi - powtórzyła głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Steven wahał się przez chwilę, ale ustąpił. Maria podeszła bliżej kominka i zapatrzyła się w płomienie.

- Jeśli sądzisz, że takim zachowaniem skłonisz mnie do zmiany moich planów, to chyba nie znasz mnie tak dobrze, jak sądziłem. Nie ustąpię, dopóki nie powiesz mi tego, co chcę usłyszeć.

Z całego serca pragnęła spełnić jego prośbę, ale nie mogła. Nie mogła zapomnieć o wiszącej nad nią i nad jej nienarodzonym dzieckiem kłątwie. Nie mogła pozwolić, żeby maleństwu przydarzyło się coś złego. Na samą myśl o tym wpadała w panikę i chciało jej się płakać. Zanim zdążyła nad sobą zapanować, szloch wyrwał jej się z piersi.

Steven nie mógł sobie darować, że doprowadził Marię do płaczu. Nie widział jej twarzy, ale dobrze ją znał i założyłby się o ostatniego dolara, że już żałuje tego objawu własnej słabości. Maria zawsze była wobec siebie niezwykle surowa i wymagająca. Prawdopodobnie było to wynikiem wysokich wymagań ze strony rodziny.

To niesprawiedliwe. Dlaczego właśnie ona miała kontynuować dzieło Angeliki Barone? Dlaczego ktoś inny nie zajmie się cukiernią „Baronessa” przy North End w Bostonie? Dlaczego musi to być właśnie Maria? Tyłu jest członków rodziny Barone, a nikt nie poczuwa się do dzielenia choćby części obowiązków. Wszystko zrzucili na jej barki, ale zbyt długo już ją wykorzystywali. Trzeba z tym skończyć!

Patrząc na jej smukłe ramiona, pomyślał o ogromnej odpowiedzialności, jaka na nich spoczywała. Nie dość, że musiała zmagać się z problemami związanymi z prowadzeniem dużej cukierni, nie dość, że starała się sprostać różnorodnym oczekiwaniom wobec niej, to jeszcze przyszło jej się samej zmierzyć z czekającym ją macierzyństwem. Powinien był zauważyć, że coś jest nie tak. Tymczasem zamiast przyjść jej z pomocą, uwolnić od napięcia, w jakim żyła, przyczynił się do jeszcze większego stresu.

- Przepraszam - powiedział, czule dotykając jej ramienia. - Przecież wiesz, że prędzej bym sobie dał rękę odjąć niż ciebie skrzywdzić. Nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała.

- To nie przez ciebie. To znaczy... wcale nie płaczę.
- Maria ukradkiem wytarła oczy,

- No to mi ulżyło - powiedział żartobliwie, próbując ją rozchmurzyć. - Bo kiedy facet wyznaje kobiecie miłość i prosi ją o rękę, to łzy nie są najbardziej oczekiwaną reakcją.

- Steven, to ja przepraszam - odparła ze ściśniętym gardłem.

Westchnął bezradnie.

- Czy pomysł poślubienia mnie wydaje ci się aż tak odrażający?

- Nie. - Maria znowu otarła twarz.

- No to skąd te łzy?

- Coś mi wpadło do oka. Chyba rzęsa...

- Chcesz, żebym ci ją wyjął? - zapytał z nadzieją, że zechce się do niego odwrócić.

- Dzięki, ale chyba już wypadła. Tak, już jest dobrze.

- Po głosie poznaję, że wcale nie jest dobrze, Mario. Co się z tobą dzieje?

Wydała z siebie głośne westchnienie.

- To hormony. Wszystko mi się rozregulowało przez tę ciążę.

- Oboje wiemy, że nie tylko o hormony tu chodzi

- rzekł Steven. - Porozmawiaj ze mną. Cokolwiek to jest, damy sobie z tym radę. Obiecuję.

Maria usiadła na podłodze na wprost kominka i splotła dłonie na brzuchu. Po chwili podniosła głowę i spojrzała Stevenowi w oczy.

- Trudno jest mi wyobrazić sobie coś bardziej wspaniałego niż małżeństwo z tobą. Kobieta, która zostanie twój a żoną, będzie prawdziwą szczęściarą.

- Ożenię się tylko z jedną i pewnie ją znasz. Nazywa się Maria Barone.

Pokręciła głową.

- Tego zrobić nie możemy. Pomyśl, co by to oznaczało dla naszych rodzin, jakiego zamieszania byśmy narobili.

- Z naszymi rodzinami sobie poradzimy, spokojna głowa. Ważne, żebyśmy byli razem. Kocham cię. Mam dość ukradkowych spotkań i całej tej tajemnicy.

- Wiem.

- Powinnaś więc też wiedzieć, że chcę budzić się koło ciebie rano, a wieczorem tulić cię do snu. Chcę mieć z tobą dzieci. I przy tobie doczekać starości i siwizny na głowie, Mario Barone. Wyjdź za mnie - dokończył błagalnym tonem.

- Och, Steven, dlaczego ty mnie nie słuchasz? Dlaczego przynajmniej nie próbujesz zrozumieć? Nasze małżeństwo nie miałoby żadnej przyszłości. Pochodzimy z rodzin, które się nienawidzą.

- To jest ich problem, nie nasz.

Spojrzała na niego, jakby był przybyszem z kosmosu.

- Chcesz mi wmówić, że długa historia waśni między rodziną Barone a Contimi się nie liczy?

- Nie dla nas. To nie ma z nami nic wspólnego.

- Jak możesz tak mówić, zwłaszcza w świetle tego, co się teraz dzieje? Na przykład, twoja rodzina utrzymuje, że mój kuzyn Derrick uprowadził twoją siostrę. A jeśli mają rację? Jeśli on faktycznie ponosi za to odpowiedzialność? Czy możesz z ręką na sercu powiedzieć, że to między nami niczego nie zmienia?

Steven zacisnął dłonie w pięści. Ta sprawa była dla niego szczególnie bolesna. Bianka była jego jedyną siostrą. Na wieść o porwaniu jej i Derricka Barone oszalała z niepokoju. Powodowany strachem i gniewem robił wszystko, żeby trafić na ich ślad. Zwłaszcza kiedy Ethan Mallory, prywatny detektyw, zaczął podejrzewać, że Derrick nie jest ofiarą, ale sprawcą. Steven poprzyśiągł wtedy, że dorwie drania, a jeśli Biance spadł choćby jeden włos z głowy, rozerwie go na strzępy.

Nie zaprzestał poszukiwań nawet pod groźbą FBI, że postawią go przed sądem za utrudnianie śledztwa. Dopiero Ethan przekonał go, że swoim prywatnym dochodzeniem przynosi więcej szkody niż pożytku. W końcu zgodził się nie mieszać do sprawy, chociaż nie było to łatwe. Trudno siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy jego siostrze może dziać się krzywda. Nie będąc jednak w stanie jej pomóc, podjął na nowo poszukiwania Marii. Udało się, byli znowu razem, ale nie zmieniło to faktu, że nadal drżał z niepokoju o bezpieczeństwo siostry.

- Po twojej twarzy widać, że jednak zmienia - podsumowała Maria.

- Wiem jedno. Jeśli Derrick ją porwał, jeśli coś Biance zrobił, odpowie mi za to.

- A widzisz! - wykrzyknęła z gorzką satysfakcją.
- Znowu się zaczyna. Nie ma dla nas żadnych szans.

Przeklinając swój porywczy temperament, Steven starał się powściągnąć emocje. Jednocześnie przeko-

nywał się w duchu, że Mallory zrobi swoje, a w tej chwili najważniejszą dla niego sprawą była Maria i ich dziecko.

- To tylko od nas zależy.

- Bądź realistą, Steven - zniecierpliwiła się Maria.

- Zbyt wiele rzeczy sprzysięgło się przeciw nam. I nie chodzi tylko o stare animozje. W lutym nieudana promocja lodów w „Baronessie”, zaraz potem pożar w biurze firmy i porwanie Bianki i Derricka. Teraz z kolei zarzuty pod adresem Derricka.

- Do czego zmierzasz? - zapytał niezadowolony z kierunku, w jakim potoczyła się ich rozmowa.

- Do tego, że między naszymi rodzinami nigdy nie było tyle wrogości, co obecnie.

- Mogło być inaczej, gdyby twoja rodzina nie oskarżyła mojej o sabotaż - zaproponował Steven.

Nigdy nie podzielał niechęci Contich do klanu Barone i nie mieszał się do rodzinnych zatargów, ale z drugiej strony znał swoich bliskich na tyle, żeby wiedzieć, że nigdy nie posunęliby się do niczego, co było niezgodne z prawem lub niemoralne. A takie były sabotaż i podpalenie.

- Dziwisz się im? - odparowała Maria. - Tyle wycierpieli przez tę kłatwę.

Steven skrzywił się.

- Nie ma żadnej kłatwy.

- Powiedz to ciotce Lucii. W końcu to od niej wszystko się zaczęło.

- Ta klątwa to nic innego, jak paplanina rozżalonej staruszki, która kilkadziesiąt lat temu przeżyła zawód miłosny. To jakieś wymysły.

- To ty tak uważasz. To, że w nią nie wierzysz, nie znaczy, że jej nie ma.

- Mario, kochanie, posłuchaj tylko siebie - powiedział rzeczowo Steven. - Jesteś jedną z najmądrzejszych kobiet, jakie znam. Przecież nie możesz nie dostrzegać absurdu w tym, co mówisz.

- Dla mnie to nie absurd. Ani dla mojej rodziny. Zbyt długo doświadczyliśmy złych skutków tego przekleństwa, żeby udawać, że jest inaczej.

Steven zrozumiał, że nie ma sposobu, aby Maria zmieniła zdanie. Może w innych okolicznościach, ale nie w jej obecnym stanie, kiedy stała się bardziej podatna na emocjonalne huśtawki.

- Rozumiem, że się lękasz. Ale Maria, którą tak dobrze znam i kocham, nie pozwoliłaby, żeby strach dyktował jej, jak ma żyć.

- Nie tylko o moje życie tu chodzi, ale także o życie naszego dziecka,

Steven podszedł bliżej i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Nigdy bym nie pozwolił, żeby ktoś wyrządził wam krzywdę. Czyżbyś tego nie wiedziała?

- Tak, ale są rzeczy, na które nawet ty nie masz wpływu.

- No wiesz! - zachnął się. - Chcesz zaprzepaścić

wszystko, co nas łączy, i uzależnić przyszłość naszego dziecka od jakichś przesądów?!

- Mówiłam ci już. Ta klątwa to tylko jeden problem. Drugi to wrogość między naszymi rodzinami. Karen, moja kuzynka, jest jedyną, która o nas wie. Nikt poza nią nie ma pojęcia, że się spotykamy, a co dopiero o tym, że spodziewam się dziecka. Wyobrażasz sobie, jaki szok przeżyją, kiedy to wyjdzie na jaw?

- Prędzej czy później pogodzą się z tym. Twoi bliscy kochają cię tak, jak moi mnie. Pragną, żebyśmy byli szczęśliwi. Poza tym moja matka już od dawna przebiekiwała coś o wnukach i naciskała, żebym się wreszcie ożenił.

- Nie sądzę, żeby akurat mnie sobie upatrzyła na synową.

- Pewnie nie, ale szybko przywyknie do tej myśli - zapewnił Steven. - Wszyscy przywykną.

- Twoja ciotka Lucia też?

- Jakoś to przełknie - odparł z nieco mniejszym przekonaniem.

- Ona nienawidzi wszystkich, którzy noszą nazwisko Barone. Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz.

- Jeśli zechce nadal utrzymywać ze mną kontakty, będzie zmuszona zaakceptować cię jako moją żonę - Steven starał się, żeby to, co mówił, brzmiało przekonująco, ale jednak miał wątpliwości.

W rzeczywistości było mało prawdopodobne, że ciotka zaakceptuje ich związek. Pomimo miłości, jaką

darzył tę starszą kobietę, nie mógł nie widzieć jej wad. Największą z nich była wciąż przed nią podsycana nienawiść do rodziny Barone. Pielęgnowała ją od lat, nie dając sobie szansy na ułożenie normalnego życia. On i jego siostra stali się jej zastępczymi dziećmi. Kochała ich i rozpieszczała, na swój sposób wypełniali pustkę w jej życiu. Oprócz nich i restauracji miała tylko jedną namiętność - wielką nienawiść do klanu Barone. Miał nadzieję, że ciotka nie postawi go przed koniecznością wyboru pomiędzy nią a Marią i dzieckiem. Żał by mu było się z nią rozstawać.

- Czy to samo powiedziałbyś swoim rodzicom i siostrze? - zapytała Maria. - Jeśli się nie zgodzą na to, żebym była twoją żoną, czy ich też wykluczysz ze swojego życia?

- Jeśli to będzie cena tego, żebyśmy mogli być razem, to tak, zrobię to - odparł bez wahania. Miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał dokonywać takiego wyboru, ale decyzję już podjął. -I co ty na to? Zgodzisz się za mnie wyjść?

ROZDZIAŁ TRZECI

- Zgódź się, proszę - nalegał Steven, ściskając Marię za rękę i patrząc jej błagalnie w oczy. - Powiedz „tak”, a od razu poszukamy sędziego pokoju, który udzieli nam ślubu. Potem wrócimy do Bostonu i postawimy nasze rodziny przed faktem dokonanym. Czy uciesz się czy nie, to już ich sprawa. Ważne, że ty i ja będziemy razem, a z nami nasze dziecko.

Maria słuchała go w milczeniu. Kochała go i z całego serca chciała zostać jego żoną. To, co mówił, wydawało się takie proste, ale jeśli nawet jakimś cudem zdołałaby przekonać swoich bliskich do zaakceptowania ich małżeństwa, rodzina Contich nigdy by im tego związku nie wybaczyła. A kłątwa? Cóż, może faktycznie to tylko głupi przesąd. A jeśli nie? Takich rzeczy nie można lekceważyć. To był przecież główny powód, dla którego wyjechała do Montany. Ciągle miała w sobie ten lęk.

- Przykro mi, Steven - rzekła i uwolniła rękę. - Nie mogę wyjść za ciebie.

Odsunęła się od niego. Musiała znaleźć w sobie dość

siły, żeby go opuścić. A przecież marzyła tylko o jednym. Chciała zatracić się w jego ramionach.

- Nie możesz czy nie chcesz? - Coraz bardziej się niecierpliwił.

Rozumiała jego frustrację. Dla siebie też nie widziała dobrego wyjścia.

- A czy to ma jakieś znaczenie? Tak czy inaczej, odpowiedź brzmi „nie”. Przykro mi.

- Mario...

- Proszę cię. Nie komplikujmy spraw, które i tak są już zawikłane.

- To ja jestem tym, który komplikuje, tak? - rozzłościł się. - Wpędzam cię w kiepski nastrój? Myślałem, że kiedy ci powiem, że cię kocham i że chcę z tobą spędzić resztę życia, sprawię ci radość.

- Tak było... i jest - zapewniła.

- Zatem możemy...

- Nie - ucięła. - Decyzję już podjęłam i zdania nie zmienię. Proszę, pogódź się z tym. Nie chcę tego dłużej roztrząsać.

- Przynajmniej wiem, czego nie chcesz, ale czy na pewno wiesz, czego chcesz?

- Tak. Chcę, żebyś wyjechał. Wracaj do Bostonu i zapomnij..,

Steven zazgrzytał ze złości zębami.

- A dziecko? O nim też mam zapomnieć? I o tym, że jest moje? - zapytał ze śmiertelną powagą, mroząc ją spojrzeniem.

Maria z trudem przełknęła ślinę.

- Tak byłoby najlepiej dla nas wszystkich. Tylko Karen wie, że coś nas ze sobą łączy. Nikt nie musi wiedzieć, że jesteś ojcem...

- Wystarczy, że ja wiem - warknął. - I niech mnie diabli, jeśli miałbym się go wyprzeć. Wprost nie wierzę, że możesz mnie o to prosić.

- Steven, chodzi mi o to, że...

- Dobrze wiem, o co ci chodzi. O to, żeby nikt nigdy nie dowiedział się, że nas kiedykolwiek coś łączyło. Nie wspominając już o naszym wspólnym dziecku.

- Tak, ale z zupełnie innych powodów, niż myślisz.

Maria zrozumiała nagle, jak bardzo Steven poczuł się dotknięty. Wyciągnęła ku niemu rękę, ale kategorycznym ruchem powstrzymał jej gest.

- Nie - rzucił i odwrócił się do niej plecami.

Powiało chłodem. Sztywno wyprostowany oddalił się od niej na odległość kilku kroków i przystanął po drugiej stronie kominka.

Maria rozpaczliwie szukała słów, które złagodziłyby ból, jaki mu zadała.

- Przepraszam - powiedziała w końcu. - Źle to zabrzmiało. Nie chciałam ci sprawić przykrości.

- Jasne. Lepiej byłoby sprzedać mi jakąś ładną babczkę.

- Steven, spójrz na mnie - poprosiła błagalnym tonem.

Kiedy się odwrócił, było jeszcze gorzej. Nie pamię-

tała, żeby kiedykolwiek jego twarz wyrażała taką niechęć i chłód. Ale czy mogła się dziwić? Prosiła o tak wiele. Cóż z tego, że robiła to dlatego, żeby uchronić ich maleństwo przed niebezpieczeństwem.

- Naprawdę mi przykro - rzekła, ale nawet jej samej te słowa wydały się puste i nieprzekonujące.

- Mnie też - odparł.

- Rozumiem, że wiele od ciebie żądam, zwracając się z taką prośbą.

- Jeśli o to chodzi, masz rację.

- Cóż... - ciągnęła dalej, nie zwracając uwagi na sarkazm w jego głosie - proszę cię, mimo wszystko. Jestem głęboko przekonana, że to dla nas najlepsze rozwiązanie. Nawet jeśli w tej chwili nie wydaje się takie oczywiste.

Steven nie odpowiadał, jedynie patrzył na nią chłodnym, przesywającym spojrzeniem.

- Przysięgam ci, że zatroszczę się o nasze dziecko najlepiej, jak potrafię. Będę wzorową mamą. Pewnego dnia opowiem mu całą prawdę o tobie i będzie wiedziało, jak bardzo go pragnęłaś. Zrozumiem, jeśli mnie teraz znienawidzisz, ale nie mam wyjścia. Proszę cię, błagam... Zapomnij.

- Łatwiej byłoby mi wyrwać serce - rzekł ponuro Steven.

Zabolały ją te słowa. Czuła dokładnie to samo. Zapomnieć Stevena to jak zaprzeć się części samej siebie. Mimo to musiała być silna - dla nich trojga'.

- Jeśli masz dla mnie jakieś uczucia, jeśli kiedykolwiek czułeś coś do mnie, zrobisz, o co cię proszę.

Steven jeszcze bardziej sposepniał i przygaśł.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbym kochać kogoś bardziej niż ciebie, ale nawet dla ciebie nie odwrócę się od mojego dziecka.

- Steven...

- Nosisz moje dziecko, Mario. Moje! Nie zamierzam z niego zrezygnować. Jeśli wrócę do Bostonu, to tylko z tobą.

- Nie masz wyboru. - Maria postanowiła, że nie ustąpi.—Nie zmusisz mnie, żebym wyjechała z tobą do Bostonu. Ani do małżeństwa.

- Masz rację. Nie mogę cię do niczego zmusić, ale ten kij ma dwa końce, aniołku. Ja też zostanę w Montanie tak długo, jak zechcę. Pamiętaj też, że niezależnie od tego, czy jesteśmy małżeństwem, czy nie, mam ojcowskie prawa do tego dziecka i nie zamierzam z nich zrezygnować.

Maria odruchowo zasłoniła brzuch ręką. Oczyma wyobraźni widziała już Stevena domagającego się w sądzie opieki nad dzieckiem.

- Wystąpiłbyś przeciwko mnie w sądzie? - zapytała drżącym głosem.

Twarz Stevena nieco złagodniała.

- Nie jestem potworem, Mario. Tego bym nie zrobił ani tobie, ani dziecku - powiedział przyjaźnie. - Nie spodziewaj się jednak, że tak po prostu wyjadę. Za bardzo mi na was zależy. Mario...

Zrobił krok w jej stronę. Maria pokręciła głową.

- Proszę cię... Jestem bardzo zmęczona i chciałabym się już położyć spać.

Zawahał się przez moment, ale ustąpił.

- No, dobrze, pójdę sobie. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w hotelu - rzekł, po czym podszedł do niej i musnął jej usta delikatnym pocałunkiem. - Dobranoc, aniołku. Pamiętaj, że cię kocham.

- Dobranoc, Steven. Sam trafisz do wyjścia. Nie będę cię odprowadzać - odpowiedziała i wyszła z pokoju.

Kiedy Maria zniknęła w głębi korytarza, Steven wziął głęboki oddech, a potem wolno wypuścił powietrze. Gniew, który odczuwał na początku, gdy odrzuciła propozycję małżeństwa, zniknął prawie tak szybko, jak się pojawił. Wprawdzie cierpiała jeszcze jego urażona duma, ale rozterki ustąpiły miejsca trosce o ukochaną.

Martwił się o Marię. Dopiero teraz dotarło do niego, w jak wielkim żyła stresie. Sprawiała wrażenie kruchej jak szkło, kiedy tak stała przy kominku i patrzyła na niego zatrwożonymi ciemnymi oczyma. Jej twarz z każdą minutą wydawała się bledsza, a cienie pod oczami głębsze i ciemniejsze. Na czole, jeśli się bliżej przyjrzeć, pojawiły się delikatne zmarszczki. Ale towarzyszący jej niepokój wyrażał się nie tylko w napiętych rysach twarzy. Przez cały czas nerwowo splatała i rozplatała ręce. Oczywiście nigdy by się do tego nie

przyznała, ale wyglądało na to, że jest u kresu wytrzymałości.

Teraz nie pozostawało Stevenowi nic innego tylko wrócić do hotelu, ale nie zamierzał z niej rezygnować. Bynajmniej. Nie wróci do Bostonu, dopóki nie przekona jej do swoich racji. Musiał tylko obmyślić plan działania, który nie narażałby Marii na przeżywanie kolejnych stresów.

Tak rozmyślając, Steven dotarł do wyjścia, przy którym w małej wnęce stał wieszak z okryciami. Właśnie zastanawiał się, czy pożegnać się z gospodarzami teraz, czy zrobić to później przez telefon, kiedy zza rogu wyszła uśmiechnięta Magdalena.

- O, tutaj jesteś, Steven! Akurat szłam, żeby wam powiedzieć, że kawa i gorąca czekolada już gotowe. A Louis przekonał mnie, żeby podać też cynamonowe bułeczki.

- Obawiam się, Magdaleno, że będę musiał zrezygnować z kawy i bułeczek, ale mam nadzieję, że dasz mi jeszcze okazję, żeby ich posmakować.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Już wychodzisz? A gdzie Maria? - zapytała, rzucając okiem w stronę korytarza.

- Poszła się położyć, więc pomyślałem, że wrócę do hotelu.

- Źle się poczuła? - zaniepokoiła się Magdalena.

- Powiedziała, że jest zmęczona, i faktycznie nie wyglądała najlepiej. Obawiam się też, że nasza rozmowa

wa ją rozstroiła. Pewnie się domyśliłaś, że wiadomość o dziecku mnie zaskoczyła.

- No tak, trudno się było nie domyślić.

- Powinienem się być wcześniej zorientować. Nie wiem, dlaczego mi to nie przyszło do głowy. Nie podejrzewałem, że może być w ciąży.

- Na to wygląda - powiedziała cierpko Magdalena.

- A teraz, kiedy już wiesz, co zamierzasz z tym zrobić?

Pytanie było postawione dość obcesowo, biorąc pod uwagę, że zadała je kobieta, którą dopiero dziś poznał. Ale spodobała mu się jej bezceremonialność, więc odpowiedział wprost:

- Zamierzam się z nią ożenić.

- Małżeństwa zawarte z obowiązku rzadko kiedy bywają szczęśliwe - zauważyła.

- Nie w tym przypadku. Kocham Marię i chcę, żeby została moją żoną.

W jednej chwili twarz Magdaleny rozpromieniła się.

- Nie myliłam się co do ciebie - rzekła z radosnym uśmiechem. - Dobry z ciebie człowiek. Przy tobie Maria będzie szczęśliwa, a ty będziesz dobrym mężem i ojcem, prawda?

- Tak - obiecał z przekonaniem Steven.

Magdalena przechyliła na bok głowę i przyjrzała się jego twarzy.

- To dlaczego nie ma w twoich oczach radości? Wyglądasz tak, jakbyś miał stoczyć jakąś batalię.

Steven był pełen podziwu dla jej spostrzegawczości.

- Ach, to długa i skomplikowana historia - odrzekł.
- Lubię długie i skomplikowane historie.

Jeśli tak, pomyślał Steven, to mam coś specjalnego.

- Dużo wiesz o rodzinie Marii?

- Tyle, ile mi opowiedziała Karen. Wiem, że jest dość liczna i że Maria ich wszystkich bardzo kocha. Karen opowiadała mi, że jej ojciec, Timothy Rawlins, świeć Panie nad jego duszą, w rzeczywistości nazywał się Luke Barone. Tylko że jak go porwali w dzieciństwie, to mu nadali inne imię. Maria i jej krewni zawsze byli dla Karen bardzo dobrzy.

- Czy Maria bądź Karen wspominały ci kiedyś o kłątwie Contich?

Magdalena zrobiła wielkie oczy.

- Jest jakaś kłątwa?
- Tak słyszałem.

Magdalena wykonała znak krzyża, po czym złożyła ręce na piersiach. Steven ściągnął brwi.

- Ja sam nie wierzę w takie rzeczy. To tylko kwestia przesądów i zbyt wybujałej wyobraźni. Niestety, nie udało mi się o tym przekonać Marii.

- Wiesz co? Jesteś tak wysoki, że szyja mi ścierpła od zadzierania głowy. Może przejdziemy do kuchni i napijemy się tej kawy. Wtedy mi wszystko dokładnie opowiesz.

Siedząc przy kuchennym stole, Steven spoglądał na pomarańczowo-kremowe draperie przy oknie. Słońce

zaszło wcześniej, jak to zimą. Prószył drobny śnieg, okrywając sosny białą, puszystą kołderką. W ciepłym, zacisznym wnętrzu, w którym unosił się aromat cynamonu i kawy, Boston, kłątwa Contich i rodzinne zatargi wydawały mu się odległe o tysiące kilometrów. Tym bardziej nie miał ochoty opowiadać o szczegółach konfliktu Conti-Barone. Z drugiej strony wiedział, że Calderone mogą się okazać w jego sprawie bardzo pomocni, pod warunkiem, że przedtem zrozumieją sytuację, w jakiej się znalazł.

- A jak się zachowała Maria, kiedy odkryła, kim jesteś? - zapytała Magdalena podekscytowana historią ich poznania.

- Powiedzmy, że bardzo lojalnie w stosunku do swojej rodziny - odparł Steven, wspominając przerażenie w oczach Marii, kiedy się jej przedstawił. - Trochę to trwało, zanim zgodziła się ze mną spotkać. Ale udało się, na szczęście!

- Wyście się w sobie zakochali, ale między Contimi i Barone nienawiść jak była, tak jest - podsumowała Magdalena. - Zupełnie jak w *Romeo i Julii*.

Steven gotów był przyznać, że widzi pewną analogię, ale w jednym się nie zgadzał. Ich historia na pewno nie skończy się tak tragicznie, jak w przypadku osławionych kochanków.

- Kiedy Karen powiedziała nam, że jej kuzynka jest w ciąży i że potrzebuje jakiegoś zacisznego miejsca, by odpocząć, nie mieliśmy pojęcia, o co tak naprawdę cho-

dzi. Podejrzewaliśmy, że się pokłóciliście. Nigdy byśmy nie pomyśleli, że to aż tak pogmatwana sprawa.

- Nie dziwi mnie teraz, że Maria jest taka przygnębiona - dodał Louis.

- Za dwa miesiące ma rodzić, a jej rodzina nie wie nawet, że jest w ciąży - rzekł Steven z goryczą w głosie. - Maria zamartwia się, jak im powiedzieć, że ojcem jest Conti.

- W jej sytuacji trudno się dziwić.

- Zgadza się - przyznał Steven - ale ten stres ją wykańcza, A przecież kocham ją i ożenię się z nią bez względu na to, czy ktoś sobie tego życzy, czy nie.

- I dobrze! - przyklasnął Louis, a Magdalena przytaknęła rozradowana.

- Jeśli to się ma jednak udać, będę potrzebował waszej pomocy.

- Już ją masz - zapewniła Magdalena, rzucając pytające spojrzenie w stronę męża.

Louis pokiwał głową, spojrzął na Stevena i rzekł:

- Powiedz nam tylko, co mamy robić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- O, te wyglądają naprawdę znakomicie - zauważyła z uznaniem Magdalena, podczas gdy Maria przekładała ciepłe figowe ciasteczka na wyłożony pergaminem blat.

- W smaku są jeszcze lepsze - zapewniła Maria, sięgając po naczynie z przygotowanym przez siebie zielonkawym lukrem.

Cukier, mleko, anyż - przepis był ciągle ten sam, a sporządziła go jej praprababka. Maria z widocznym zadowoleniem zabrała się do dekoracji, kreśląc na ciasteczkach zgrabne spiralne wzorki. Te tradycyjne włoskie ciasteczka zawsze należały do jej ulubionych. Cieszyły się też wielkim wzięciem wśród gości odwiedzających „Baronessę”. Przygotowywanie tych przysmaków na świąteczny kiermasz w kościele w Silver Valley pomogło jej czymś się zająć, ale też przypominało o rodzinnym domu i nastrojało nostalgicznie.

- Może ci pomogę? - zaproponowała Magdalena, wskazując na miskę z kolorową posypką. - Ty będziesz lukrować, a ja je tym oprószę, dobrze?

- Dobrze. Będzie się lepiej trzymać, kiedy lukier stężeje - odparła Maria.

Przesuwała się powoli wzdłuż rzędu ciasteczek i wprawnym ruchem ręki przystrajała je słodką masą. Lukrowanie figowych ciasteczek było jednym z pierwszych zajęć w „Baronessie”, jakie jej kiedyś przydzieliła babcia. Była wtedy małą dziewczynką. Maria uśmiechnęła się do wspomnień i nagle posmutniała. Poczowała się bardzo samotna. Gdyby babcia jeszcze żyła, co powiedziałaby o Stevenie i jej ciąży? Byłaby nią rozczarowana? Czułaby się zdradzona?

Próbując otrząsnąć się z niepokojących myśli, Maria skierowała wzrok w stronę okna i znieruchomiała. Właśnie przechodził tamtędy Steven z naręczem drewna do kominka.

- *Pequena*, *me* przesadziłaś z tym lukrem?

Maria popatrzyła na ciastko, które właśnie dekorowała, i mruknęła z niezadowoleniem. Zamiast musnąć je tylko z wierzchu, zalała je całe zieloną masą. Strofuując się w myślach, rzuciła łyżkę do miski z lukrem i próbowała zebrać nadmiar masy, która nie dość, że spływała na pergamin, to jeszcze sięgnęła brzegów innych ciastek.

- A może zostawisz to tak, jak jest? - zachichotała Magdalena. - Założę się, że Louis i Steven z ochotą zjedzą wszystko, co nam się nie uda.

Maria zrobiła kwaśną minę. Minęło pięć dni, odkąd odrzuciła oświadczyzny Stevena i nie zgodziła się na

powrót do Bostonu. Od tego czasu dzień w dzień bywał w domu Calderone. Wprawdzie nie wracał już do drażliwego tematu i nie wywierał żadnej presji, ale bardzo zaprzyjaźnił się z gospodarzami i wcale jej się to nie podobało. Nie wierzyła w pozorne zawieszenie broni.

Podważyła szpatułką ciężkie od lukru ciastko i wrzuciła je na talerz.

- A może by tak jeszcze kilka spisać na straty? - zaproponowała Magdalena z chytrym uśmiechem. - Dziś wieczorem mielibyśmy na deser.

- Mówiłaś, zdaje się, że Louis jest na diecie i że nie wolno mu jeść słodczy - przypomniała Maria.

Magdalena machnęła ręką.

- A tak, zarządziłam dietę, ale skoro mamy na kolacji gościa, jakiś deser wypada podać. Poza tym obie wiemy, jaki z Louisa łakomczuch. Takim ciasteczkom na pewno się nie oprze.

Magdalena zagarnęła palcem zielonkawą masę i włożyła sobie do ust.

- Jakiego gościa? - zainteresowała się Maria.

- Stevena - odparła Magdalena z niewinną miną i sięgnęła po naczynie z kolorową posypką. - Druga partia ciastek zaraz będzie gotowa. Chcesz dokończyć te, zanim ostygną?

Maria chwyciła miskę z masą, fukając pod nosem.

- Tylko dlatego, że Steven jest... Ponieważ on i ja... Nie musiałaś zapraszać go ze względu na mnie - powiedziała, energicznie mieszając masę łyżką.

- Ja go nie zapraszałam. To Louis. I nie zrobił tego z. twojego powodu, ale żeby mu podziękować za pomoc przy naprawie ogrodu.

- Ach tak... - Maria natychmiast pożałowała swojego wybuchu.

- Steven to dobry człowiek, *pequena*, i kocha cię.

- Wiem.

Ona też go kochała i przez to było jej jeszcze trudniej.

- To dlaczego nie dasz mu szansy?

- Dobrze wiesz dlaczego - odparła Maria, bez entuzjazmu dekorując kolejny rząd ciasteczek.

- Chodzi o tę niezgodę między waszymi rodzinami, tak?

Maria skinęła głową.

- Przecież to by ich jeszcze bardziej skłóciło. Wkrótce sami siebie byśmy zniechęcili.

- Moim zdaniem, nie doceniasz samej siebie i Stevena. Jesteś silną i odważną kobietą, Mario, a jak się zdążyłam zorientować, Steven też potrafi stanąć na wysokości zadania. Dlaczego przynajmniej nie spróbujesz?

- Bo się boję - przyznała i spojrzała Magdalenie w oczy. - Boję się tego, co mogłoby stać się naszemu dziecku.

Magdalena przyglądała się jej przez chwilę.

- Kłątwa Contich - wyszeptała.

- Tak - potwierdziła Maria i poczuła łzy pod powiekami. - Wiem, że to głupio brzmi, i nie oczekuję, że mnie zrozumiesz, ale po prostu nie mogę podjąć tego ryzyka.

- *Ach, mi pobre pequena.*

Magdalena odstawiła miskę z posypką i wyjęła naczynie z rąk Marii. Postawiwszy je na stole, objęła Marię ramionami i przytuliła, głaszcząc jej włosy, jakby była małą dziewczynką. Maria zaniósła się płaczem.

- No już dobrze, dobrze - uspokajała ją Magdalena, lekko poklepując po plecach. - Wypłacz się do woli, a lepiej się poczujesz.

Rzeczywiście, po paru chwilach Maria odzyskała panowanie nad sobą. Cofnęła się i przetarła twarz rąbkim fartucha.

- Przepraszam. Nie wiem, dlaczego tak się rozkleiłam - powiedziała.

- Nie musisz przepraszać. Mówiłam ci już, że jesteś dzielną kobietą - zapewniła ją Magdalena.

- Która płacze z byle powodu.

- Powody do płaczu są zawsze - odparła z powagą Magdalena - ale ty masz więcej powodów, żeby się uśmiechać. Chociażby tó maleństwo w tobie i mężczyzną, który bardzo cię kocha.

- Wiem - powiedziała Maria, zawstydzona tym uzalaniem się nad sobą.

- Miłość to potężna broń, Mario. Potrafi być silniejsza niż jakiegokolwiek przekleństwo.

Z piekarnika dobiegł sygnał czasomierza, wybawiając Marię od odpowiedzi. Skorzystała z okazji, żeby zmienić temat.

- O rany! Najwyraźniej wychodzę z wprawy. -

Chwyciła rękawice i rzuciła się w stronę piekarnika.

- Kiedyś bez trudu zdążałam z dekoracją, a zanim kolejna partia ciastek wyszła z pieca, miałam nawet czas na kawę. Czy możesz rozłożyć pergamin na drugim blacie?

Magdalena popatrzyła na nią z przekąsem, ale wzięła do ręki rolkę pergaminu i odmierzyła parę długości, żeby przykryć blat.

- A na te ciastka jaki lukier? Czerwony?

- Zatem kiedy wybieracie się do Bostonu, żeby odwiedzić Karen? — zapytał Steven, kiedy siedzieli przy kolacji tego samego wieczoru.

- Jeszcze nie wiemy - odpowiedziała Magdalena.

- Na pewno nie przed Nowym Rokiem. Może w lutym, bliżej terminu porodu Marii.

- Bardzo bym się... to znaczy, bardzo byśmy się cieszyli, gdybyście mogli być w tym czasie w Bostonie, prawda, Mario? - Steven zrobił kolejną próbę, żeby wciągnąć Marię do rozmowy.

- Byłoby wspaniale mieć was wtedy przy sobie - zgodziła się, omijając wzrokiem Stevena. - Myślałam jednak o tym, żeby urodzić dziecko tutaj, w Silver Valley. Rozumiem, że to kłopot i...

- Bzdura - przerwała jej Magdalena. - Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz.

- Ależ oczywiście - zawtórował jej Louis. - Musisz jednak pamiętać, że przyjdzie dziecko na świat to święto

w rodzinie. Czy na pewno nie chcesz być bliżej swoich w tym czasie?

Steven posłał Louisowi pełne wdzięczności spojrzenie.

- Louis ma rację. Kiedy już powiadomimy o wszystkim nasze rodziny, nie będą się mogli nas doczekać.

- Zakładając, że po tej wiadomości będą jeszcze chcieli z nami rozmawiać - powiedziała bezbarwnym głosem Maria i znowu zamilkła.

Steven zaczynał powoli tracić cierpliwość. Od pięciu dni starał się stwarzać przyjemną atmosferę, licząc na to, że łatwiej mu wtedy będzie przekonać Marię do swoich racji. Ale jak miał to zrobić, kiedy prawie wcale się do niego nie odzywała i unikała go, jak mogła? A jeżeli teraz się uprze, żeby rodzić w Montanie? Nie, takiej ewentualności nie będzie nawet brał pod uwagę.

- A zatem ustalone - zwrócił się znowu do gospodarzy. - Maria i ja oczekujemy was w Bostonie w dzień Świętego Walentego. Uczymy razem narodziny naszego dzidziusia.

- Zaproszenie przyjęte - oznajmiła z uśmiechem Magdalena.

- Cieszę się. I chciałbym, żebyście zostali przynajmniej tak długo, żebym miał szansę odwdziżyć się za waszą gościnność. Wprawdzie nie mogę obiecać równie wspaniałej kolacji jak ta, ale trochę na kuchni się znam.

- Och, to zbyt uczte, Steven. - Magdalena machnęła ręką. - Przy dziecku oboje będziecie mieli ręce pełne roboty.

- To Maria najbardziej się napracuje. A z gotowaniem powinienem dać sobie radę. Ostatecznie mogę zamówić coś na wynos w naszej rodzinnej restauracji. Najlepsza włoska kuchnia w Bostonie jest „U Antonia”!

Maria, słysząc tę nazwę, cała zeszytniała. Nie uszło to uwagi Stevena. Zauważył też jej spłoszone spojrzenie, zanim wbiła wzrok w talerz. Nie mógł sobie darować, że znowu wszystko popsuł.

Zapanowało niezręczne milczenie.

- Może zjesz jeszcze kawałek pieczeni?-przerwała ciszę Magdalena.

- Bardzo chętnie, ale chyba nie zmieszczę. Jeśli zjem jeszcze trochę, nie będę mógł się ruszać. Pieczeń jest doprawdy wyśmienita.

- A nie mówiłem, że Magdalena świetnie gotuje? - rzekł z dumą Louis, a szeroki uśmiech rozświetlił jego ogorzałą twarz. - To jeden z powodów, dla których się z nią ożeniłem,

- Naprawdę? Nie przypominam sobie, żebyś ci opowiadała o swoich kulinarnych umiejętnościach, kiedy przyszedłeś prosić mnie o rękę - zganiła go wzrokiem Magdalena.

Louis spoważniał, jakby gotował się na jakąś ważną przeprawę.

- Powiedziałem, że to był jeden z powodów. A zakochałem się przede wszystkim dlatego, że byłaś piękna i słodka.

Steven przyglądał się im z rozbawieniem, ale i z za-

zdroszcia. Taką bliskość mogli dzielić tylko ci, którzy mieli za sobą długie wspólne lata przeżyte w małżeństwie. Opanowało go nagłe pragnienie, żeby taka bliskość mogła stać się udziałem jego i Marii. Ale czy mógł wierzyć, że to marzenie kiedykolwiek się spełni, skoro nawet nie chciała spojrzeć w jego stronę?

- To prawda, Magdaleno - przekonywał żonę Louis.
- To, że jesteś tak cudowną kucharką, było dodatkową nagrodą.

- Louis opowiadał mi dziś rano, jak się poznaliście - powiedział Steven. - Mówił, że był przejazdem w Silver Yalley i że kiedy cię zobaczył - Steven strzelił palcami - nie było już dla niego ratunku. Musiał zostać.

- W naszym mieście odbywał się właśnie dwudniowy letni festiwal - pośpieszyła z wyjaśnieniem Magdalena. Na jej twarzy malowała się coraz większa nostalgia, a w głosie dał się słyszeć cieplejszy ton. - Dopiero co skończyłam szkołę! Pracowałam w barze „U Miss Ellie”, kiedy zjawił się Louis.

- Jechałem do Butte i zatrzymałem się, żeby coś zjeść. Usiadłem sobie przy barze, czytam menu, a tu jakiś anielski głosik pyta, czy interesują mnie dania dnia. Podnoszę głowę, a tam ona! Najpiękniejsze stworzenie, jakie w życiu widziałem.

- Zamówiłeś hit dnia: befsztyk i puree ziemniaczane - dodała Magdalena.

- Mogłaś mi polecić trociny, a też bym je zamówił.

Zupełnie jakby we mnie piorun strzelił. Widziałem tylko ciebie.

- Prawie trzy godziny siedział przy kawie i deserach, czekając, aż skończę zmianę.

- Spytałem, czy mogę odprowadzić cię do domu, ale ty powiedziałaś, że umówiłaś się z koleżanką na festiwalu.

- Tak, z Lindą Garcia... Teraz się nazywa Linda Ramos. Louis oznajmił nam, że przyjechał specjalnie na festiwal, i zapytał, czy nie będzie nam przeszkadzać, jeśli się do nas przyłączy. To, oczywiście, nie była prawda.

- Ale dzięki temu mogłem z tobą spędzić wieczór.

- Biedna Linda! W końcu musiała przez ciebie zostać z tym wstrętnym Buckiem Martinem - powiedziała Magdalena oskarżycielskim tonem.

- Nie miałem innego wyjścia - bronił się Louis. - Buzia jej się nie zamykała, a do tego miała taki piskliwy głos, że uszy bolały.

- Głos miała absolutnie w porządku - zaprotestowała Magdalena.

- Akurat! Zawodziła jak kocia orkiestra.

- Louis! Jak możesz?!

- Ale to prawda.

- Może faktycznie jej głos był trochę za wysoki, ale starała się z tobą zaprzyjaźnić.

- Zaprzyjaźnić to ja się chciałem tylko z tobą. Od pierwszego wejrzenia wiedziałem, że chcę z tobą spędzić

dzić resztę życia - odparł Louis i pochyliwszy się ku Magdalenie, pocałował ją delikatnie w usta.

Steven rzucił okiem w stronę Marii. Nadal siedziała sztywno, nie odzywając się. Bardzo chciał, żeby na niego popatrzyła, żeby jej też udzieliła się panująca przy stole wesołość. W końcu, jakby wyczuła jego myśli, spojrzała ku niemu. Uśmiechnął się, widząc isierki rozbawienia w jej brązowych oczach. Odpowiedziała czymś na kształt uśmiechu, lekko unosząc kąciki ust.

Magdalena poklepała Louisa po ręce.

- Louis, przypominam ci, że mamy gości. Pewnie się do reszty znudzili naszą miłosną historią.

- Wcale nie - zapewnił Steven.,- Przypomniałem sobie, co ja czułem, kiedy zobaczyłem Marię pierwszy raz.

- Steven, wątpię, żeby to kogokolwiek mogło interesować - powiedziała Maria.

- Ależ tak. Opowiedz nam - zachęciła Stevena Magdalena.

Maria z rezygnacją oparła się na krześle i skrzyżowała ramiona.

- Poznałem Marię na ślubie Gail, siostry mojego kolegi z college'u, z którym dzieliłem pokój.

- Zaznaczam, że panem młodym był Barone, mój brat Nicholas - podkreśliła Maria.

- Zgadza się, ale nie widziałem powodu, dla którego miałbym nie iść na ten ślub.

- Bo byłeś wielce zainteresowany pewną koleżanką Gail, która na tym ślubie była druhną.

- Przyznaję, że liczyłem na zawarcie bliższej z nią znajomości, ale tylko do momentu, kiedy w odległym końcu sali ujrzałem cudowną brunetkę z niewiarygodnie brązowymi oczyma.

- Marię! - wtrąciła podekscytowana Magdalena.

- Tak, od tej chwili myślałem już tylko o tym, jak się z nią umówić.

- Jakie to romantyczne! I co zrobiłeś?

- Poprosiłem ją do tańca i nie odstępowałem przez cały wieczór. A kiedy przyjęcie się skończyło i zespół pakował już instrumenty, powiedziałem, że jej nie puszczę, dopóki nie da mi swojego numeru telefonu i buziaka.

- Bo nie wiedziałeś, że jestem z rodziny Barone.

- Nawet gdybym wiedział, nie miałoby to dla mnie żadnego znaczenia - powiedział dobitnie, zapominając, że nie są sami. - Nie miało znaczenia wtedy i nie ma dzisiaj. I nie zamierzam niweczyć tego, co mamy, przyszłości naszej i dziecka z powodu jakichś śmiesznych zatargów czy bezsensownych przesądów.

Maria poderwała się z krzesła, które upadło z hukiem na podłogę.

- Powtarzam ci, że to nie są żadne bzdury. I to nie ty będziesz o tym decydował, ale ja. Wybaczcie mi, Magdaleno, Louisie, ale ja... ja... Przepraszam - powiedziała z płaczem i wybiegła z pokoju.

- Mario, poczekaj!

- Niech idzie. - Magdalena powstrzymała Stevena, kładąc rękę na jego ramieniu.

- Ale ona cierpi...
- Tak, ale jeśli pójdziesz za nią, to jeszcze bardziej się rozklei. Musisz być cierpliwy.
- Nie bardzo wiem, czy potrafię. Mam coraz mniej czasu, Magdaleno. Rozmawiałem dzisiaj z detektywem, który prowadzi poszukiwania mojej siostry. Sprawa utknęła w martwym punkcie, a im dłużej jej nie ma, tym mniejsze szanse, że wróci cała i zdrowa. — Steven zawahał się chwilę, ale postanowił grać w otwarte karty.
- Muszę wracać do Bostonu, a nie chcę wyjeżdżać bez Marii.
- Może nie będziesz musiał - powiedziała Magdalena z błyskiem satysfakcji w oku.
- Mam pewien pomysł, który może coś przyspieszyć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maria przyznała Magdalenie rację. Długa kąpiel w wannie pomogła jej się odprężyć. Na szczęście Calderone przyjęli przeprosiny za jej brak opanowania i gwałtowną reakcję podczas kolacji, ale chociaż Magdalena zapewniała, że to nie ma znaczenia i że dobrze rozumieją napięcie, w jakim żyje, była sama sobą przeżona.

Kierowała dobrze prosperującą firmą. Od kiedy zajęła się prowadzeniem „Baronessy”, radziła sobie z setkami kryzysowych sytuacji, przy czym zawsze była opanowana. Do tego rodzice zarzekali się, że przypomina zmarłą babcię Angelice nie tylko z wyglądu, ale że posiada jej chłodny umysł i zdecydowanie.

W takim razie gdzie się podział jej zdrowy rozsądek? Jak to się stało, że jest kłębkim nerwów? To dlatego, że się zakochała w Stevenie Contim, odpowiedział jej wewnętrzny głos. Maria westchnęła. Dzisiaj znowu będzie musiała się z nim spotkać. Musi wyjaśnić do końca sytuację swoją i dziecka. I to już wkrótce. Pogłaskała pieśczołtliwie wystający brzuch. Gdybyż tylko wiedziała, co robić! Czy w ogóle istniał jakiś sposób, żeby

ona, dziecko i Steven mogli zostać razem, nie zrywając rodzinnych więzi? Jeśli tak, to ona go nie znała.

W poczuciu zupełnej bezradności była już bliska płaczu, nabrała powietrza w płuca i zamrużyła powiekami, tłumiąc napływające do oczu łzy. Postanowiła tym razem nie poddawać się rozpacz. Przede wszystkim powinna porządnie się wyspać. Może rano spojrzy na wszystko innymi oczyma.

Zrzuciła z siebie podomkę, cisnęła ją w nogi łóżka, a następnie wsunęła się do pościeli. Wyłączyła światło i okryła się kołdrą, wtulając głowę w poduszkę. Jednak sen nie przychodził. Rzuciła się na łóżku, przewracała z boku na bok, nie mogąc przestać myśleć o Stevenie i swojej rodzinie.

W końcu poddała się. Usiadła na łóżku i włączyła lampkę. Telefon na nocnym stoliku przypomniał jej o Karen. Może gdyby z nią porozmawiała, nie czułaby się taka samotna i niespokojna. Ku jej niemiłemu zaskoczeniu zegar wskazywał dziesiątą. U Karen było około północy. Na pewno ona i jej seksowny szejk położyli się już spać. Nowożeńcy zwykle wcześniej się kładą, a poza tym Karen mogła czuć się zmęczona. Też oczekiwała dziecka, tylko jej miłosna historia zakończyła się szczęśliwie. Jakże jej zazdrościła!

Ogarnęła ją nowa fala smutku. O zaśnięciu w tak ponurym nastroju nie było mowy. Maria poprawiła poduszki i sięgnęła po książkę. Na nic się jednak zdały wysiłki autora, zmyślnie intrygi i zawile wątki. Jej włas-

na historia uparcie wysuwała się na plan pierwszy i nie pozwalała się skupić. Po dziesięciu minutach Maria odłożyła kryminał i, pomimo późnej pory, wystukała numer telefonu do Karen.

- Halo? - odezwał się w słuchawce głos kuzynki.

- Cześć. To ja.

- Maria?! - wykrzyknęła Karen. - To telepatia. Właśnie mówiłam Ashowi, że koniecznie muszę z tobą porozmawiać. Miałam dzwonić rano.

- Przepraszam, że telefonuję o tak późnej porze - powiedziała Maria. - To nic ważnego. Może później...

- Coś ty! Nie waż się odkładać słuchawki. Przecież już mówiłam, że ja też chcę z tobą pogadać. .

- Pewna jesteś, że wam nie przeszkadzam?

- Na sto procent - zapewniła Karen. - Właśnie siedzieliśmy sobie z Ashem w łóżku i kłóciliśmy się o imię dla dziecka.

- Dyskutowaliśmy o tym - poprawił ją Ash.

Maria uśmiechnęła się, słysząc jego głos. Przypomniała sobie, jak na początku ich romansu Karen bała się, że może zechcieć za bardzo ją kontrolować.

- Co sądzisz o imieniu Ashley? - zapytała Karen.

- Ładne.

- Ja też tak uważam. Nadawałoby się i dla chłopca, i dla dziewczynki.

- Nasz syn nie będzie nazywał się jak dziewczyna - zabrzmiał w tle głos Asha. - To by go naznaczyło na całe życie.

Uwaga ta dała początek nowej sprzeczce między małżonkami, z której mimo wszystko przebijała duma i radość wspólnego oczekiwania przyjścia dziecka na świat. Maria zateęskniła za przeżywaniem tego samego ze Stevenem.

- Ach, ci mężczyźni! - powiedziała w chwilę później Karen, wysławszy męża po lody. - A propos, czy Steven jest w Silver Valley?

- Tak. Myślałam, że kiedy stanie się jasne, że nie zamierzam za niego wyjść, to wróci do Bostonu. Zamiast tego wkradł się w łaski państwa Calderone i praktycznie stał się członkiem ich rodziny - rzekła ze skargą w głosie Maria. - Siedzi tutaj od rana do wieczora, pomagając Louisowi w pracach na ranchu i czarując Magdalenę.

- A przy okazji gra ci na nerwach?

- Zgadza się, ale nie takjak myślisz. Już nie nakłania mnie do małżeństwa i nie naciska, jak pierwszego dnia - wyjaśniła Maria. - Niemniej jego obecność tutaj, rozmowy o nas i o dziecku... Rozumiesz... to tak, jakbyśmy już byli razem. Przez to jest mi jeszcze trudniej.

- I co zamierzasz?

- To, czego bym chciała, i to, co moim zdaniem powinnam zrobić, to są dwie zupełnie różne rzeczy. Kocham Stevena i pragnę zostać jego żoną.

- Ale...?

- Ale boję się, co się stanie, jeśli to zrobię.

- Pamiętam, że miałam podobny dylemat nie tak dawno temu, ale pewna mądra, cudowna kobieta powie-

działa mi, że nie powinnam odrzucać szansy życia z mężczyzną, którego kocham.

Maria przypomniała sobie własne słowa.

- Ja jestem w innej sytuacji - zauważyła.

- Doprawdy? Ja też bałam się małżeństwa z Ashem. Ty mnie wtedy przekonałaś. Dlaczego teraz nie dasz sobie takiej samej szansy? Przyjmij jego oświadczyni i powiedz rodzinie o nim i o dziecku.

Gdyby to było takie proste, pomyślała Maria. A jeśli wszyscy się od nich odwrócą? A jeśli kłątwa dopadnie jej nienarodzonego dziecka?

- Nie mogę - wyszeptała. - Moi rodzice mogliby tego nie znieść... Nie wiadomo, jak zachowaliby się Conti. Nie mogę tak ryzykować.

- Ludzie się zmieniają, Mario - podkreśliła Karen.

- Wcześniej czy później będziesz im musiała powiedzieć. Wszyscy mnie pytają, gdzie jesteś i kiedy wracasz.

Maria ściągnęła brwi, wyczuwając, że Karen ma jakąś złą wiadomość.

- Jakieś kłopoty w „Baronessie”?

- Nie. W każdym razie, nic nowego. Mimi świetnie sobie radzi. Ludzie z FBI nie znaleźli jeszcze Derricka i Bianki Conti. Obawiam się, niestety, że Derrick maczał palce w porwaniu i żądaniu okupu. Coraz więcej faktów na to wskazuje.

- Miałam nadzieję, że się myliliśmy co do niego.

Marii trudno było uwierzyć, że jej kuzyn mógł być

zdotoy do czegoś takiego. Z drugiej strony, czuł się notorycznie lekceważony przez wszystkich w rodzinie. Nie było to prawdą, ale zarzucał im, że nie doceniają jego wkładu w rodzinne przedsiębiorstwo. Nie krył zawodu, kiedy powierzono mu pieczę nad działem kontroli jakości w firmie, a nie skierowano do pracy w zarządzie, Jego ambicje sięgały wysoko, nawet stanowiska naczelnego dyrektora „Baronessy”.

Maria pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Nie potrafię zrozumieć, dlaczego naraził nas wszystkich na takie przykrości,

- Mniejsza o powody, ale dla jego siostry to był prawdziwy cios.

- Biedna Emily... - powiedziała współczująco Maria. - Może do niej zadzwonić? Jak sądzisz?

- Myślę, że by się ucieszyła - odpowiedziała Karen i dodała po chwili: - Mogłabyś też zadzwonić do rodziców.

Serce zaczęło Marii szybciej bić.

- Do rodziców? Czy coś im się stało?

- Nie, nie - zapewniła szybko Karen. - To nie to.

- A co?

- Wczoraj twój ojciec miał przypadkowe spotkanie z Lucią Conti.

- Było aż tak źle? - Maria prawie jęknęła.

- Niestety. Dowiedziałam się, że Lucia zarzuciła rodzinie Barone, że wiedzą, gdzie Derrick więzi Biankę. Padły ostre słowa.

- Czy to dlatego chciałaś do mnie dzwonić? Żeby mi powiedzieć o tej kłótni?

- Między innymi. A wiem o niej, bo dziś wieczorem odwiedziła mnie ciocia Moira i wujek Carlo.

- Moi rodzice? A w jakim celu do ciebie przyszli?
- zapytała Maria i zaraz sobie odpowiedziała: - Żeby się dowiedzieć, gdzie jestem.

- Zgadłaś. Niepokoją się o ciebie. Nie kupili bajeczki o ładowaniu akumulatorów ani o tym, że z myślą o „Baronessie” próbujesz się lepiej rozeznać na rynku cukierniczym. Ich zdaniem, przed wyjazdem miałaś romans w Bostonie, a wyjechałaś, bo się ten związek rozpadł.

- Czy wiedzą, że to Steven?

- Nie. Nie powiedziałam im, gdzie jesteś. Wyjaśniłam, że dałam ci słowo, ale zapewniłam ich, że jesteś bezpieczna.

- Dziękuję - odetchnęła z ulgą Maria. Ostatnią rzeczą, jakiej by chciała, był ich niespodziewany przyjazd do Silver Valley i konfrontacja ze Stevenem.

- Ciocia i wujek byli bardzo mili. Żał było patrzeć, jak bardzo się o ciebie martwią.

- Przepraszam, że cię postawiłam w takiej sytuacji
- wyznała szczerze Maria. - Jutro do nich zatelefonuję i uspokoję, że u mnie wszystko w porządku.

- Musisz wrócić do domu, Mario. Już czas. I musisz powiedzieć im całą prawdę.

- Pomyślę o tym.

Dwa dni później małżeństwo Calderone, Maria i Steven spotkali się w salonie, aby przystroić bożonarodzeniowe drzewko.

- Steven, czy możesz pomóc Marii zawiesić ten łańcuch na gałęzi przy wierzchołku? - poprosiła Magdalena.

- Jasne - odrzekł Steven.

Dobrze wiedział, że ubieranie choinki oraz inne drobne zajęcia były tylko sprytnym wybiegiem Magdaleny, żeby jego i Marię do siebie zbliżyć. Podszedł i stanął za Marią, żeby wziąć od niej łańcuch, a następnie, ocierając się o jej plecy, wychylił się, żeby go ułożyć na gałęzi.

- Dziękuję - powiedziała cicho Maria.

- Nie ma sprawy - odparł Steven, nie mając ochoty ruszać się z miejsca. Stojąc tak blisko, napawał się zapachem i gładkością jej jasnej skóry.

- Przyniosę jeszcze jeden - dodała Maria, a Steven cofnął się, żeby zrobić jej miejsce.

- Kto ma ochotę napić się adwokata? - Louis wniósł tacę z pucharkami i zgrabnym dzbanuszkim. Ubrany w szeroką roboczą koszulę, dżinsy i buty do kolan w zestawieniu z filigranową tacką i delikatną zastawą wyglądał dość zabawnie.

- Ja bardzo chętnie - rzekł Steven.

- Ja też - powiedziała Maria.

Kiedy Magdalena zajęła się nalewaniem gęstego kremu do pucharków, Louis śledził jej ruchy błyszczącymi

z dumy oczyma. Oto jest człowiek spełniony, nie bez zazdrości pomyślał Steven. W Bostonie spotykał się przeważnie z ludźmi bogatymi, pnącymi się po szczeblach kariery, a jednak Louis, wiodący proste życie na ranchu z ukochaną kobietą u boku wydał mu się o wiele bogatszy.

- Przepyszne - pochwalił Steven, spróbował napoju.

- Wyśmienite - wtórowała Maria. - Mam nadzieję, że dasz mi przepis. Przyrządziłabym mojej rodzinie na święta.

- A więc zdecydowałaś się jechać na święta do domu? - zainteresowała się Magdalena i ponownie napełniła kremem pucharek Louisa.

- Jeszcze nie jestem do końca pewna. Być może.

Przynajmniej się zastanawia, pomyślał z zadowoleniem Steven, biorąc to za dobry znak.

Maria odstawiła napój.

- Lepiej dokończmy ubierać choinkę, bo mogę się spóźnić na zajęcia szkoły rodzenia.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Magdalena. - Mario, *pequena*, na śmierć zapomniałam. Nie mogę tam dzisiaj z tobą iść. W kościele mamy zebranie w sprawie świątecznych dekoracji. Jestem przewodniczącą, więc muszę w nim uczestniczyć. Bardzo cię przepraszam. Wiesz, miałam cię uprzedzić, ale tyle się teraz dzieje, że wypadło mi z głowy.

- Nie przejmuj się - odpowiedziała Maria.

- Ale nie możesz tam pójść sama. Potrzebujesz asystenta - przypomniała Magdalena.

- To w tym tygodniu opuszczę zajęcia.

- Nie wolno ci! Instruktorka powiedziała, że ostatni trymestr jest najważniejszy.

- A może ja pójdę z tobą? - zaoferował się Steven.

- Świetna myśl - przyklasnęła Magdalena.

Widząc, że Maria nie wygląda na zachwyconą, Steven postanowił użyć koronnego argumentu.

- Skoro jestem ojcem dziecka i planuję być przy porodzie, to chyba zupełnie naturalne, że powinienem ci towarzyszyć, prawda?

- Dobrze. Zajęcia zaczynają się o siódmej trzydzięści w miejskim ośrodku niedaleko szpitala - poinformowała Maria.

Steven skinął potakująco głową. Wiedział, gdzie to jest. Zerknąwszy na zegarek, obliczał w myśli czas dojazdu.

- Dziś po południu napadało sporo śniegu, więc powinniśmy wyjechać trochę wcześniej.

- Wiecie co? Idźcie już sobie - powiedziała Magdalena. - Ja i Louis sami dokończymy ubierać choinkę.

Ten, kto ukuł powiedzenie „słaba płęć”, nie mógł oglądać tego filmu, pomyślał wstrząśnięty Steven, kiedy dobiegła końca projekcja dokumentu o przebiegu porodu i włączono światło. Rozejrzył się po sali, lustrując wzrokiem twarze innych zgromadzonych tu mężczyzn. Przeważnie byli równie poruszeni, jak on.

- Pouczające, prawda? - zapytała siedząca obok Maria.

- Najogólniej mówiąc - przytaknął Steven, wciąż przerażony tym, co zobaczył. Tym bardziej, że za dwa miesiące Maria miała przechodzić przez to samo.

Instruktorka szkoły rodzenia, która przedstawiła się jako siostra Carol, klasnęła w dłonie.

- OK, mamusie! Bierzemy maty i szukamy sobie wolnego miejsca na podłodze.

Kobieta była dobrze po pięćdziesiątce, wysoka i potężna. Bynajmniej nie kojarzyła się Stevenowi z aniołem miłosierdzia. Przypominała mu raczej panią Boris, nauczycielkę z podstawówki, której niespełnionym powołaniem była rola sierżanta na poligonie.

Siostra Carol ponownie klasnęła w dłonie.

- Żarty się skończyły, proszę państwa. Pora zabrać się do pracy.

Żarty? Ta kobieta chyba ma nierówno pod sufitem, pomyślał Steven, przywołując w pamięci co ostrzejsze sceny z filmu.

- O, tam jest miejsce, pod ścianą - powiedziała Maria, wskazując wolną przestrzeń w odległym końcu sali. Widząc, że Steven nie reaguje, zapytała: - Steven, dobrze się czujesz? Wyglądasz jakoś dziwnie.

Przetarł twarz ręką.

- Myślałem o tym filmie. Jeżeli podczas porodu kobieta musi przechodzić takie katusze, to chyba cud, że nie jestem jedynakiem.

- Ja jestem jedną z ośmiorga - przypomniała mu ze śmiechem.

- W takim razie twoja biedna matka musi być świętą - zażartował.

Maria spoważniała.

- I chyba jest, pod wieloma względami. Mam nadzieję, że chociaż w połowie będę taka jak ona dla mojego dziecka.

- Będiesz wspaniałą matką - zapewnił Steven. - Ale chodź już. Siostra Carol zaczyna się denerwować. Zajmijmy pozycje.

Podniósł matę i puścił Marię przodem do wcześniej wskazanego przez nią miejsca. Następnie rozłożył matę na podłodze i pomógł Marii wygodnie się na niej usadowić. Ukląkł przy niej gotowy do ćwiczeń, ale mając w pamięci drastyczne obrazy z filmu, zupełnie nie potrafił sobie wyobrazić, jak jej drobne, szczupłe ciało może być zdolne podołać takiemu wysiłkowi.

- Steven, czy na pewno z tobą wszystko w porządku? - zapytała Maria, przyglądając mu się znad maty.

- Myślałem o tym, jak to będzie - rzekł. - Wydajesz się taka mała. A jeśli dziecko okaże się zbyt duże?

Maria poklepała go po ręce.

- Nie martw się. Kobiety rodzą dzieci od tysięcy lat. Natura wie, co robi.

- Oboje widzieliśmy ten film. Jak możesz być tak spokojna? Nie boisz się?

- Trochę - przyznała - ale z drugiej strony to takie ekscytujące.

- Ja też tak myślałem, dopóki nie zobaczyłem, jak to naprawdę wygląda. Przyznam się, że mnie to przeraża.

Maria roześmiała się.

- Nie będzie tak źle - powiedziała, a widząc jego niedowierzanie, dodała: - Fakt, może nie będzie to szczególnie przyjemne, ale to niewielka cena. Cudownie jest czuć, jak dziecko we mnie rośnie, rozwija się, i wiedzieć, że wkrótce będę mogła je wziąć w ramiona, przytulić...

- Uwaga, mamusie! Zaczynamy - siostra Carol ucięła rozmowy.

Maria położyła się płasko na macie, a Steven czekał obok, podczas gdy instruktorka omówiła kolejne etapy porodu.

- Bóle następują teraz co dwie minuty. Co panowie robią? .

- Kupują nam prezenty i kwiaty - rzuciła pulchna blondyna, wzbudzając ogólną wesołość.

- Naturalnie, ale to wtedy, kiedy dziecko się urodzi - odrzekła siostra Carol. - A przedtem jakie mają zadanie?

- Trzymać nas za rękę i kazać oddychać - odezwała się drobna szatynka, która wyglądała, jakby miała w brzuchu arbuza.

- Bardzo dobrze, Penny - pochwaliła ją instruktorka. - Panowie, weźcie partnerkę za rękę.

Kłęcząc obok Marii i biorąc ją za rękę, Steven doznał uczucia ogromnego intymnego wzruszenia. Pomimo jarzących się świateł, tych wszystkich par wokół i siostry Carol wykrzykującej komendy, poczuł niezwykłą więź - tak silną jak nigdy dotąd - pomiędzy nim, ukochaną kobietą i ich dzieckiem w jej brzuchu.

- Pamiętajcie, mamy, kiedy bóle się nasilą, ściśnijcie partnera za rękę, a panowie pilnujcie, żeby panie prawidłowo oddychały.

- Jesteś piękna - szepnął Steven.

Zaskoczona Maria przestała ćwiczyć oddechy i spojrzała mu w oczy.

- Uwaga, czas na kolejne skurcze - komenderowała siostra Carol. - Pamiętajcie: poczujecie ostrzejsze bóle, ściskacie dłoń partnera i równo oddychacie. Teraz!

Maria ścisnęła dłoń Stevena i nie odrywając od niego oczu, ćwiczyła serie wdechów i wydechów. W jednej chwili Steven poczuł się tak, jakby ich wszystkie nieporozumienia przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Jakoś dotrwali do końca zajęć. Droga powrotna do domu upłynęła im w miłej, pogodnej atmosferze.

- Wygląda na to, że Magdalena i Louis jeszcze nie wrócili - zauważył Steven, wjeżdżając na podjazd. Zaciągnął ręczny hamulec i wyłączył silnik. - Pewnie zebranie się przeciągnęło. Może wejdę i zostanę z tobą do ich powrotu? - zaproponował.

- Dziękuję, ale chyba zaraz się położę spać. Jestem

bardzo zmęczona - odpowiedziała Maria, odpinając pasy. - Dziękuję, że zechciałeś mi towarzyszyć.

- Zrobiłem to z przyjemnością.

- Lepiej wejdę do domu, zanim oboje tu zamarznemy. Nie odprowadzaj mnie. Powinieneś już wracać do hotelu, bo znowu może zacząć sypać.

Nawet nie siląc się na odpowiedź, Steven wysiadł z samochodu, obszedł go dookoła i otworzył jej drzwi. Następnie podsunął ramię, żeby jej pomóc się wydostać.

- Dzięki - powiedziała i brodząc w świeżym śniegu, skierowała się do wejścia, gdzie nad frontowymi drzwiami jarzyła się samotna lampa.

Steven podążał za nią krok w krok, starając się własnym ciałem zasłonić ją przed podmuchami zimnego wiatru. Przed wejściem Maria zatrzymała się i odwróciła ku niemu.

- Steven...

- Mario... - rzekł niemal jednocześnie, po czym oboje się roześmieli.

- Cieszę się - powiedział po chwili, spoglądając na nią z czułością.

- Ja też. Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej o naszym dziecku. Bez względu na to, jak się między nami ułoży, jesteś jego ojcem i powinieneś stać się częścią jego życia.

Chwycił ją za rękę, przytrzymał i podszedł bliżej.

- Chcę być częścią także twojego życia, Mario. Wyjdź za mnie - rzekł i nie czekając na jej odpowiedź,

zamknął jej usta pocałunkiem. Jego wargi niecierpliwe, ale czułe i delikatne miały wyrazić, jak bardzo ją kocha i jak bardzo jej pragnie. Ale kiedy rozchyliła usta, jęknął i wtargnął głębiej, czując, jak oplata go ramionami.

Kiedy w końcu uwolniła usta, przywarła do niego całym ciałem, a on przytulił ją najmocniej, jak mógł, całując jej włosy.

- Tak bardzo było mi ciebie brak - wyznał. - Nie chcę się już z tobą nigdy rozstawać.

- Ja też za tobą tęskniłam - przyznała. - Wejźmy do środka.

Trzymając ręce na jej ramionach, zrobił krok do tyłu tak, żeby widzieć jej twarz. Policzki miała zarumienione, oczy łagodnie rozmarzone, usta nabrzmiące od pocałunków.

- Jeśli wejdę tam z tobą, nie mam pewności, że będę umiał trzymać ręce przy sobie.

- Wiem - wyszeptwała.

Rozpalony pożądaniem gotów był wziąć ją na ręce, zanieść do sypialni i kochać się z nią tak, jak tego pragnęła. Ale to oznaczałoby powrót do dawnego układu - spotkań w tajemnicy przed światem. Tymczasem Steven chciał czegoś więcej. Zasługiwał na więcej. Obojgu im się to należało.

- Jeśli mam wejść, to tylko jako twój przyszły mąż. Dość już przemykania się, ukrywania. Pobierzemy się i wrócimy razem do Bostonu, żeby o wszystkim powiedzieć naszym rodzinom.

Maria odsunęła się od niego.

- Przecież to szantaż - powiedziała z wyrzutem.
- Nazywaj to, jak chcesz, ale to mój warunek - odrzekł, mając nadzieję, że się zgodzi. - To jak będzie? Mam wejść czy wracać do hotelu?

- Chyba będzie lepiej, jeśli wrócisz do hotelu.

scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Coś miękkiego i kudłatego połaskotało Marię w policzek. Zmarszczyła nos i wtuliła twarz w poduszkę. Nie minęło jednak kilkanaście sekund, a znów poczuła łaskotanie. Tym razem odgarnęła futro z twarzy. Futro?

Otworzyła szeroko oczy. Sophia, rozpuszczona przez Louisa kotka, leżała zwinięta w kłębek tuż koło jej głowy. Musiało jej się coś śnić, bo od czasu do czasu machała długim, puszystym ogonem. Zazwyczaj, niczym pies za swoim panem, podążała za Louistem, asystując mu w trakcie codziennych obowiązków. Nawet padający śnieg jej nie zniechęcał. A kiedy Louis był w domu, najchętniej sadowiła mu się na kolanach.

- Sophia, co ty tu robisz? Czemu nie jesteś z Louistem? Spojrzenie zielonych kocich oczu zdawało się mówić:

- Co za pytanie? Próbuję zasnąć. Nie widzisz? - Po czym nastąpiło znaczące ziewnięcie.

- No cóż, pewnie mam ci nie przeszkadzać - zamruczała pod nosem Maria.

Oparła się na łokciach, odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na zegarek na nocnym stoliku. Jęknęła z przerażenia, widząc, że było już dobrze po dziesiątej.

Dawno już powinna była wstać. Przez większą część nocy nie mogła jednak zasnąć. Przewracała się tylko z boku na bok, bez przerwy myśląc o Stevenie. Nurtoowało ją, jak powinna postąpić.

Wyskoczyła z łóżka i pospieszyła do łazienki. Weszła pod prysznic i puściła strumień ciepłej wody. Wciąż miała pod powiekami obraz Stevena, jego przejmujące spojrzenie podczas zajęć w szkole rodzenia. Pomyslała o wczorajszym niezwykłym wieczorze, o uściskach, pocałunkach, o tym, co jej Steven powiedział. Gdyby już nie była w nim zakochana, to na pewno stałoby się to wczorajszego wieczoru.

Była gotowa oddać mu siebie, a on powiedział „nie”. Chciał od niej czegoś więcej niż tylko seksu. Pragnął jej serca. Jego uczciwość i konsekwencja wywarły na niej ogromne wrażenie.

Zaledwie wysuszyła włosy i związała je granatową wstążką, kiedy skrzypnęły drzwi do łazienki i usłyszała znajome miauknięcie.

- Nadal tu jesteś? - zwróciła się do kotki, która zaczęła ocierać się o jej nogi. - Chodź, zobaczymy, gdzie jest Louis i Magdalena.

Wzięła kotkę na ręce i zeszła po schodach na dół. Spodziewała się pikantnych zapachów przyrządzanych enchiladas, które Magdalena obiecała Louisowi na lunch, ale na dole nie było nikogo.

- Magdaleno! - zawołała, czując się trochę nieswojo. Nie doczekawszy się odpowiedzi, postawiła kotkę na

podłodze, a ta od razu pobiegła w stronę kuchni. W kuchni też nie zastała nikogo. Dotknęła kuchenki, ale była zimna. Wszystko wskazywało na to, że dziś rano nikt nie korzystał z tego pomieszczenia. Coś musiało się stać!

Z kuchni Maria przeszła do saloniku, a następnie do pokoju, który służył Louisowi za biuro. Nikogo nie było. Zapukała do drzwi sypialni, a kiedy nikt się nie odezwał, pchnęła je. Łóżko było posłane. Na krzesło obok spoczywała torba z robótką Magdaleny, na nocnym stoliku leżała książka.

Maria pośpiesznie sprawdziła pozostałe pomieszczenia, nawet pralnię, ale nikogo nie znalazła. Pomyślała o ogrodzie. Wprawdzie teraz, kiedy wszędzie leżał śnieg, małe były szanse, że znajdzie tam Magdaleny, ale i tak postanowiła sprawdzić. Narzuciła na siebie płaszcz i wyszła przed dom.

Na dworze prószył drobny śnieg. Nie znalazłszy nikogo w ogrodzie, Maria postanowiła zajrzeć jeszcze do stajni. Od kilku tygodni Louis trzymał tam tylko cztery konie, ale spędzał przy nich sporo czasu, więc sądziła, że zastanie tam i jego, i Magdaleny. Otuliwszy się szczelniej płaszczem i szalikiem, ostrożnie stawiała Ikroki, brodząc w gęstym śniegu. Musiała użyć obu rąk, żeby otworzyć ciężkie wrota.

- Louis? Magdalena? Jesteście tu? - zawołała.

Po chwili wzrok przyzwyczał się do panującego w stajni półmroku i mogła się wreszcie rozejrzeć. Powie-

trze przesycone było zapachem koni i siana, ale dziwna cisza wskazywała na to, że ani ludzi, ani koni tam nie ma. Brakowało też przyczepy do przewozu koni.

Zaniepokojona nie na żarty, Maria postanowiła rozjeździć się wokół domu, kiedy na zakręcie wypatrzyła znajomego czerwonego rangę rovera. To na pewno Louis i Magdalena. Pomimo wiatru i chłodu zatrzymała się, żeby im pomachać i poczekać, aż zaparkują w wolnostojącym garażu.

- Już się zaczynałam o was niepokoić! - zawołała wesoło do Magdaleny, ale widząc jej zasepiony wyraz twarzy, natychmiast spoważniała.

Louis robił wrażenie jeszcze bardziej przygnębionego.

- Odwieźliśmy konie do Artura - poinformowała rzeczowo Magdalena.

- Czy coś się stało? - zapytała Maria.

- Ojciec Louisa miał wypadek. Leży w szpitalu w Billings.

- Przykro mi - powiedziała Maria. - Czy... wyzdrowieje?

- Trudno powiedzieć. Jest w śpiączce - wyjaśnił ponuro Louis, otwierając drzwi i puszczając je przodem.

- Papa Calderone to silny mężczyzna - powiedziała do Louisa Magdalena, kiedy wieszali okrycia przy wejściu. - Wyjdzie z tego, Louis. Zobacysz - zapewniła, dotykając jego ramienia.

Louis nakrył jej dłoń swoją dłonią i spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.
- Po prostu to wiem - powiedziała z przekonaniem.
- Jeśli mam dotrzeć do Billings przed zmrokiem, zacznę się pakować.
- Przygotuję jedzenie na drogę.
- Nie musisz tego robić. Sam sobie coś wezmę.
- Powiedziałam, że ci przygotuję, to przygotuję - powtórzyła z naciskiem Magdalena.

Louis westchnął z rezygnacją.

- W porządku, ale nie przesadzaj. W gruncie rzeczy nie jestem głodny.

Magdalena odprowadziła go wzrokiem do sypialni.

- Biedny Louis. Jego siostra zadzwoniła z samego rana, żeby nas powiadomić, że papa Calderone leży w szpitalu. Od tego czasu Louis nie zjadł ani kęsa, a wiesz, jak lubi jeść.

- To przez to, że się martwi - rzekła Maria, nie wiedząc, jak pomóc przyjaciółce. - A ty jak się trzymasz?

- Jakoś - odparła Magdalena, przecierając oczy. - Lepiej zajmę się tymi kanapkami - dodała i razem przeszły do kuchni.

- Czy wiadomo, jak to się stało? - zapytała Maria. Kroiła chleb, podczas gdy Magdalena przygotowywała ser i wędlinę.

- Anna mówiła, że pijany kierowca zjechał ze swojego pasa ruchu i zderzył się z ciężarówką ojca Louisa.

- Straszne!

Magdalena pokiwała głową i posmarowała chleb majonezem i musztardą.

- Zderzenie czołowe. Według lekarzy, ojciec musiał uderzyć głową w przednią szybę. Ma wstrząs mózgu, złamany obojczyk i rękę. Anna mówi, że stracił przytomność w drodze do szpitala i dotąd jej nie odzyskał.

Maria podeszła do Magdaleny, wyjęła jej kanapki z ręki i położywszy je obok, przytuliła przyjaciółkę.

- Tak mi przykro... - powiedziała.

- Dziękuję- odparła Magdalena, pociągając nosem. Cofnęła się i sięgnęła po folię do pakowania kanapek.

- Lekarze twierdzą, że im dłużej jest nieprzytomny, tym mniejsze ma szanse, że wróci do zdrowia.

- Ja się tym zajmę, a ty zaparz kawy. - Maria wyjęła folię z jej rąk. - Przy urazach głowy nigdy nic nie wiadomo. Ważne, że jest pod dobrą opieką.

Magdalena odmierzyła kawę i włączyła ekspres.

- Nie wiem, jak to teraz będzie - odezwała się łamiącym głosem, mnąc w rękach ściereczkę do naczyń.

- Idą święta. Jeśli papa Calderone z tego nie wyjdzie, Louis do reszty się załamie.

- Nie wolno ci tak myśleć. Czytałam o ludziach, którzy całe miesiące leżeli w śpiączce, a potem nagle się budzili i wracali do zdrowia. Musicie po prostu tam być i czekać.

- Może masz rację - rzekła Magdalena, ocierając łzy. - Przepraszam cię za to, że się rozkleiłam.

- Nie ma za co przepraszać. Słuchaj, ja tu wszystko do końca przygotuję, a ty idź się pakować.

- Ale ja z Louisem nie jadę - poinformowała.

- A dlaczego? - zdziwiła się Maria. - Myślałam, że wywieźliście konie, żeby móc razem pojechać do Billings.

Magdalena pokręciła głową.

- Louis nie chciał, żebym miała z nimi kłopot, jeśli będzie musiał zostać z ojcem trochę dłużej.

- Ale ja nadal nie rozumiem, dlaczego nie jedziesz z nim: Kotką się zajmę, nie martw się.

- To nie o kotkę mi chodzi, ale o ciebie.

- O mnie? A dlaczego? - Maria zamrugała z niedowierzaniem.

- Bo, *ma pequena*, jesteś w trzecim trymestrze ciąży. A co by było, gdyby dzidzius się pospieszył?

- Termin porodu mam dopiero za dwa miesiące - przypomniała Maria.

- To fakt, ale z tym różnie bywa. Pierwsze dziecko Anny, siostry Louisa, przyszło na świat sześć tygodni przed terminem. A gdybyś, nie daj Boże, przewróciła się lub miała jakiś inny wypadek, to kto się wtedy tobą zajmie?

- Nie będzie żadnego wypadku. Obiecuję, że będę niezwykle ostrożna. Idź, pakuj rzeczy i jedź.

- Nie mogę cię tu samej zostawić.

- No to może pojedę z wami albo... wrócę do domu - zaproponowała Maria bez przekonania.

- Nie, długa podróż byłaby dla ciebie zbyt męcząca, a na powrót do domu chyba jeszcze nie jesteś gotowa. Prawda, *pequena*?

- Tak, ale Louis cię potrzebuje. Twoja rodzina też. A i sama chcesz z nim pojechać.

Magdalena poklepała Marię po ręce.

- Gdybym pojechała z nim, tobym się denerwowała, że zostałam tu sama. Nie, wykluczone. Louis jedzie, ja zostaję.

- Magdaleno, proszę cię. Czy już nie ma sposobu, żeby cię przekonać?

- Cóż, jest jedno wyjście - powiedziała Magdalena z błyskiem w oku. - Czułabym się znacznie lepiej, gdyby ktoś... powiedzmy, Steven, tu z tobą zamieszkał.

- To' niemożliwe - odparła Maria, której serce zaczęło bić jak oszalałe.

- A dlaczego nie? Któż inny zatroszczy się o ciebie lepiej od niego? No, ale skoro nie chcesz, to Louis pojedzie sam. Pójdę zapytać, czy mu czego nie trzeba.

- Magdaleno, poczekaj! - zawołała za nią Maria.

Magdalena przystanęła i odwróciła się w jej stronę.

Maria czuła się jak w pułapce, ale nie chciała, żeby ze względu na nią Magdalena i Louis się rozstawali w tak ważnej dla nich chwili.

- A gdybym się zgodziła, żeby Steven wpadał od czasu do czasu i sprawdzał, czy wszystko w porządku, to pojedziesz z Louisem do Billings?

- A będziesz się codziennie z nim kontaktować i dzwonić w razie potrzeby?

- Tak, obiecuję.

- W takim razie zgadzam się. Pojadę z Louisem.

Trzy dni później Magdalena i Maria rozmawiały przez telefon.

- Ojciec Louisa odzyskał przytomność. Trochę potrwa, zanim całkiem wyzdrowieje, ale lekarze mówią, że być może pojutrze wyjdzie ze szpitala.

- Tak się cieszę!

- A ty jak się miewasz? Steven cię odwiedza?

- Czuję się dobrze. Steven był tu dwa razy, ale dzwonił chyba z dziesięć, żeby się upewnić, czy u mnie wszystko w porządku.

- Louis pyta o Sopię.

- Sopię? - uśmiechnęła się Maria. Na dźwięk swojego imienia kotka wskoczyła na stolik przy łóżku, domagając się pieszczot. Maria pogłaskała ją po grzbiecie.

- Cała i zdrowa. Tęskni za wami, ale staram się, jak mogę, żeby jej nie było smutno.

- Miało być odwrotnie. To ona miała ci dotrzymać towarzystwa.

- Jej to powiedz.

Magdalena odpowiedziała śmiechem.

- Czy na pewno możemy zostać w Billings jeszcze przez kilka dni? Dasz sobie radę sama?

- Możesz być spokojna - zapewniła Maria i przysięgając dzwonić do Stevena, zakończyła rozmowę.

Kiedy jednak odłożyła słuchawkę, poczuła się dziwnie samotna w tym ogromnym domu. Dom jej rodziców zawsze tętnił życiem. Tam, mając przy sobie siostry i braci, nigdy nie czuła się opuszczona. A może zadzwonić do rodziców? Ale co im powie? Takich wiadomości, jakie dla nich miała, nie przekazuje się przez telefon. A może Karen podniesie ją trochę na duchu?

- Cześć, tu Karen - odezwała się automatyczna sekretarka. - Ash i ja jesteśmy teraz zajęci, ale jeśli zostawisz wiadomość po sygnale, zadzwonimy najszybciej, jak to możliwe.

Maria zostawiła wiadomość. Przez chwilę wahała się, czy nie zadzwonić do Stevena, ale w końcu odłożyła słuchawkę.

Z mocnym postanowieniem, że jednak weźmie się w garść, rzekła do kotki:

- Chodź, Sophia. Zrobimy Magdalenie i Louisowi niespodziankę. Upieczemy im coś specjalnego.

Wyszła z sypialni nieświadoma faktu, że zeskakując na podłogę, Sophia potrąciła telefon i słuchawka zsunęła się z widełek.

- Przy takiej ilości śniegu na drodze i tej prędkości ma pan szczęście, że nie rozbił pan tego cacka na drzewie - powiedział policjant z konnej kontroli drogowej, wypisując Stevenowi mandat.

Najwidoczniej ten potężnie zbudowany mężczyzna niejednej burzy się oparł, bo czynił swą powinność

z podziwu godną dokładnością. - Nie wiem, jak to robicie w Bostonie, ale tu w Montame przestrzegamy ograniczenia prędkości.

- Tak, rozumiem - odparł niecierpliwie Steven, pragnąc jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Nie mógł się doczekać, kiedy sprawdzi, co się dzieje z Marią.

Od rana nie sposób się było do niej dodzwonić. Nie odbierała komórki, a linia telefonu stacjonarnego była wciąż zajęta. Uprosił operatora, żeby ją sprawdził, i stąd wiedział, że nikt w tym czasie przez telefon nie rozmawiał. Z jakiegoś powodu słuchawka nie leżała na widełkach. Kiedy tylko o tym pomyślał, wpadał w panikę, a wyobraźnia podsuwała mu najgorsze scenariusze.

Policjant podał mu kwitariusz i długopis.

- Potrzebny jest pański podpis.

Steven z trudem napisał swoje nazwisko na dole stroyny, bo od panującego na dworze zimna zgrabiwały mu palce.

Policjant wręczył mu pokwitowanie.

- Na odwrocie znajdzie pan informację, w jaki sposób opłacić grzywnę. Oczywiście ma pan prawo odwołać się do sądu.

- Nie zamierzam. - Steven wetknął mandat za lusterko w samochodzie. - To znaczy, nie będę się odwoływał. Prześlę należność pocztą.

Policjant skinął głową, aż śnieg posypał się z ronda jego kapelusza.

- Niech się pan postara jechać wolniej.

- Dobrze - obiecał Steven, trzymając już nogę na gazie.

Ale policjant nie spieszył się z odejściem. Wsunął kwitariusz do tylnej kieszeni i dodał:

- Jeśli mógłbym coś radzić, to lepiej niech pan zostanie na noc tam, dokąd się pan tak spieszy. Zapowiadają jeszcze większe opady śniegu, a wtedy drogi będą zupełnie nieprzejezdne.

- Dzięki. Tak zrobię - powiedział Steven i, jak tylko policjant zrobił krok do tyłu, wcisnął gaz i wyjechał na drogę.

Kosztowało go to trochę, ale zmusił się do wolniejszej jazdy. Minuty ciągnęły się niemiłosiernie, więc kiedy wreszcie dojechał na ranczo, odetchnął z ulgą. Zgasił silnik i od razu, brnąc w głębokim śniegu, rzucił się do drzwi frontowych.

Niecierpliwie nacisnął dzwonek. Raz, dwa, trzy, cztery. Minęło pięć sekund, ale ze środka nie dobiegły go żadne dźwięki. Jedyne wiatr złowrogo zawodził wśród sosen. Wszystko wokół pokrywała gruba warstwa śniegu i nie zanosilo się, żeby przestało padać. Niebo zasnucone było ciężkimi, stalowoszarymi chmurami.

Ponownie nacisnął dzwonek. Nadal nikt nie odpowiadał, więc postanowił sam otworzyć, ale drzwi okazały się zamknięte na klucz. Zaklął pod nosem, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku. Czyżby jego czarne scenariusze zaczynały się sprawdzać?

Maria!

Walił pięścią w drzwi, ale bez skutku. Podeszedł więc do okna w nadziei, że pomimo ciemności zobaczy jakiś ruch za firanką. Nic. Wiatr ciskał mu śniegiem w twarz, kiedy przedzierał się przez zasy do kuchennego wejścia na tyłach domu. Ucieszył się, dostrzegając światło w oknie. Dopadł do drzwi, ale tym razem nawet nie pukał, tylko od razu szarpnął za gałkę. Zamknięte. Zaklął pod nosem.

- Maria! - zawołał znowu, łomocząc pięściami do drzwi.

Skoro i to nie pomogło, ze zdenerwowania cofnął się trochę i z impetem uderzył w drzwi barkiem. Z bólu gwiazdy pokazały mu się w oczach, ale drzwi nie puściły. Nie pozostawało mu nic innego, jak iść do stodoły i poszukać łomu albo innego narzędzia do wyważenia drzwi. Już miał odejść, gdy usłyszał głos Marii.

- Steven?

Z wrażenia zamarł w bezruchu. Poczł tak ogromną ulgę, że nie był w stanie nawet myśleć. Nie zważając na chłód i fakt, że cały był obsypany śniegiem, chwycił Marię i przyciągnął gwałtownie do siebie.

- Czy nic ci nie jest? - zapytał zdyszany, nie przestając wodzić palcami po jej plecach i przyciskać ją coraz mocniej, jakby nie dowierzał, że to naprawdę ona. Wtulił twarz w jej włosy, zapominając o całym świecie.

- Nie - odpowiedziała zduszonym głosem, mając twarz przyciśniętą do jego piersi.

- Bogu dzięki - powiedział, nie przestając jej przytulać i dotykać.

Dopiero kiedy poczuł, że wstrząsa nią dreszcz, zauważył, że stoi na wietrze bez ciepłego okrycia.

- Chodźmy - rzucił krótko i wciągnął ją do wnętrza, zatraskując za sobą drzwi.

- Steven...

- Daj mi chwilę - przerwał jej szorstkim głosem.

Pomimo uczucia ulgi, jego poziom adrenaliny był wciąż wysoki. Próbując zapanować nad emocjami, odwrócił się do niej tyłem. Zdarł z siebie kurtkę i rzucił ją na krzesło, przy okazji strącając na podłogę grudki śniegu.

- Zniszczysz Magdalenie podłogę - powiedziała z wyrzutem Maria, chcąc odwiesić kurtkę na miejsce.

- Zostaw - warknął.

- Ani mi się śni - odparła.

W ułamku sekundy był przy niej, trzymając ją mocno za ramiona.

- Nie wiem, czy mam cię udusić, czy pocałować.

Zamrugała ze złości, a na policzki wypłynął jej niezdrowy rumieniec.

- Nie zrobisz ani jednego, ani drugiego.

- Mylisz się - powiedział i po chwili całował ją zapalczywie, tak jakby chciał zrzucić z siebie cały strach, który wciąż jeszcze czaił się w duszy.

Zarzucając mu ręce na szyję i rozchylając usta, poddała się gwałtownej pieszczocie jego języka i warg. A on wciąż nie umiał się nasycić jej zapachem i sma-

kiem. Tak się zapamiętał w całowaniu, że zupełnie stracił poczucie czasu.

- Czy możesz mi w końcu wyjaśnić, co się stało?
- zapytała Maria, łapiąc oddech.

- Ja... — zaczął niepewnie i przetarł twarz dłonią. Wtedy przypomniał sobie swoją bezradność, kiedy nie mógł się do niej dodzwonić, a następnie paniczny strach, jaki go tu przywiódł. - Myślałem, że coś ci się stało. Że uległaś jakiemuś wypadkowi albo nawet leżysz tu nieprzytomna.

- Dlaczego?

- Przez cały dzień usiłowałem się do ciebie dodzwonić, ale linia była zajęta.

- Przecież nie rozmawiałam przez telefon.

- To wiem, bo w końcu przekonałem operatora, żeby to sprawdził. Musiałaś źle odłożyć słuchawkę.

Nie dowierzając jego słowom, Maria podeszła do wiszącego na ścianie telefonu i podniosła słuchawkę. Dał się słyszeć charakterystyczny "sygnał jak wtedy, kiedy linia jest zajęta. Zarumieniła się i odwiesiła słuchawkę.

- Faktycznie - przyznała. - Powinieneś być zadzwonić na komórkę.

- Dzwoniłem, ale nie odpowiadałaś. Moje sms-y też pozostały bez odpowiedzi.

Maria podeszła do stołu, gdzie leżała torebka, i zaczęła nerwowo przerzucać jej zawartość w poszukiwaniu komórki.

- Musiałam ją zostawić w samochodzie... - Zaru-

mieniła się jeszcze mocniej. - Ale to nie daje ci prawa, żeby wtargnąć tutaj jak jakiś macho.

- Nie? - zapytał, czując, jak znowu krew w nim się burzy. - A kiedy ostatnio słuchałaś prognozy pogody? A może zadałaś sobie trud, żeby wyrzeć przez okno?

- Nie miałam czasu...

Obrzucił wzrokiem blaty zastawione kolorowymi ciasteczkami.

- Najwyraźniej byłaś zbyt zajęta, żeby uzmysłwić sobie, że jesteś tu sama, a w promieniu paru kilometrów nie ma żywej duszy. Do tego nadciąga burza śnieżna.

- Burza?

- Tak! - powiedział podniesionym tonem, prowadząc ją do drzwi i otwierając je na oścież.

Na dworze panowała zamieć, a zasyły sięgały prawie metra wysokości.

- O Boże... - wyszeptała Maria i zadrżała z zimna. Steven zatrzasnął drzwi.

- Podobno ma być jeszcze gorzej.

Maria odeszła parę kroków, skrzyżowała ramiona na piersi i podniosła dumnie głowę.

- W takim razie lepiej od razu wracaj do hotelu. Później trudno będzie dojechać do miasta.

- Nigdzie się nie wybieram - oznajmił.

- Ale...

- Przeczekam tę burzę z tobą. Tutaj.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Maria miała ochotę jeszcze trochę podyskutować, ale w głębi duszy przyznawała Stevenowi rację. Zachowała się bardzo nieostrożnie.

- Nie dajesz mi wyboru, prawda? - zapytała.

- Nie.

W tym czasie w drzwiach kuchni pojawiła się Sophia. Tanecznym krokiem minęła Marię i od razu zaczęła się łączyć do nóg Stevena. Maria poczuła się lekko zawiedziona, ale tylko westchnęła z rezygnacją.

- No cóż, w takim razie upewnię się, że w sypialni dla gości jest czysta pościel i ręczniki.

- To może ja sprawdzę telefony w pokojach.

- Nie, nie, ja to zrobię - powiedziała Maria, podejrzewając, że sprawcą zamieszania może być telefon w jej sypialni.

- Dobrze - odparł Steven i wzięwszy kurtkę z krzesła, zaczął się ubierać.

Sophia dreptała za nim krok w krok, płacząc się mu między nogami.

- Dokąd idziesz?

- Rzucę okiem na generator. Louis pokazał mi, gdzie jest. Muszę mieć pewność, że będę wiedział, jak go uruchomić na wypadek, gdyby była przerwa w dostawie prądu.

- Zdrajczyńni - zamruczała do siebie Maria, kiedy Sophia wyskoczyła za drzwi i pobiegła za Stevenem.

Czuła się rozdrażniona całą tą sytuacją. Poszła na górę do swojej sypialni. Tak jak się spodziewała, słuchawka telefonu na nocnym stoliku leżała obok aparatu, wydając charakterystyczny przerywany sygnał. Odłożyła ją na miejsce i udała się do drugiego pokoju, który służył jako sypialnia dla gości. Położyła tam czystą pościel i upewniła się, że jest zapas ręczników w łazience.

Zaledwie zeszła na dół do kuchni, kiedy drzwi się otworzyły. Najpierw wbiegła oproszona śniegiem Sophia, a za nią z naręczem drewna do kominka wszedł Steven. Tupiąc mocno, strząsnął śnieg z butów.

- Mogłabyś za mną zamknąć? - poprosił i skierował się do salonu.

Maria pośpiesznie zamknęła drzwi i poszła za nim.

- Sprawdziłem generator. Wygląda na sprawny - poinformował, układając drewno obok kominka. - Pomyślałem jednak, że warto przynieść trochę więcej drewna, na wszelki wypadek.

- Racja.

Dlaczego sama o tym nie pomyślała? Zniknęła na chwilę z pokoju i wróciła ubrana w płaszcz i szalik.

- A ty dokąd się wybierasz? - zapytał Steven.

- Pomogę ci nosić drewno.
- Dam sobie radę. Nie wychodź na takie zimno - rzekł.

Jego stanowczy ton tylko utwierdził ją w jej postanowieniu.

- Nie traktuj mnie, jakbym była głupią, bezradną panienką, Steven. Odrobina śniegu w niczym mi nie zaszkodzi, a drewno nosić umiem.

Steven wolno wypuścił powietrze.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że poradzisz sobie z każdym wyzwaniem, ale bądź łaskawa wziąć pod uwagę fakt, że jesteś w siódmym miesiącu ciąży, a na dworze szaleje śnieżycy. Jesteśmy tu zdani sami na siebie i to nie wiadomo jak długo. W imię czego miałabyś ryzykować, że się przeziębisz, potkniesz lub że stanie się coś jeszcze innego, co zagrozi ciąży?

Musiała przyznać mu rację.

- Przepraszam, ale czuję się taka... bezużyteczna.

Steven podszedł do niej, cmoknął ją w czoło, a następnie powiedział z uśmiechem:

- Zupełnie niepotrzebnie, maleńka. Za minutę będę z powrotem, a kiedy skończę, to może zasłużę sobie na kilka z tych smakołyków, które wypatrzyłem w kuchni.

Kiedy wrócił, na stole w kuchni czekał na niego talerz wypełniony po brzegi najrozmaitszymi ciasteczkami, cukierkami i ciastem. Maria poczęstowała go kawą, a sobie naląła gorącej czekolady.

- Jak się nazywają te ciasteczka w kształcie musze-

lek? - zapytał, wkładając do ust czekoladowe ciasteczko posypane cukrem pudrem.

- Magdalenki.

- Fantastyczne - pochwalił i sięgnął po kolejne. -

A to?

- To są włosko-szwajcarskie czekoladowe bezy.

Przymknął oczy i wydał jęk zadowolenia.

- Rozkoszne.

- To samo mówił mój dziadek - roześmiała się Maria. - Oryginalny przepis babci Angeliki.

- Nie wiedziałem, że twoja babcia zajmowała się wypiekiem ciastek. Słyszałem tylko, że jej pasją były desery lodowe.

- To prawda, ale potrafiła też robić wiele innych rzeczy.

- Tak jak jej wnuczka - podsumował.

- Dzięki - odparła i czując się trochę skrępowana, podeszła do zlewu, żeby opłukać filiżankę. - Nalać ci jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. - Steven wstał od stołu i podał jej swoją filiżankę i pusty talerz. - To była prawdziwa uczta. Dziękuję.

- Nie ma za co - odparła, po czym opłukała pozostałe naczynia i wstawiła je do zmywarki. Wytarłszy rękę, podeszła do kredensu i zaczęła wyjmować plastikowe pojemniki na ciastka.

- Pomogę ci - zaoferował Steven i sięgnął po pojemniki z najwyższej półki.

Wkrótce większość ciasteczek znajdowała się w pudełkach.

- To wszystko na świąteczny kiermasz? - zainteresował się Steven.

- Nie. Te są dla Magdaleny i Louisa, a te dla mojej rodziny. Uwielbiają bezy. Babcia zawsze piekła je przed świętami, a ja jej pomagałam. Na dworze zawierucha, a w domu zapach pieczonego ciasta. Potem urządzaliśmy wieczór kolęd.

- Naprawdę?

- To nasza rodzinna tradycja. Tydzień przed Bożym Narodzeniem wszyscy Barone kolędują. Maria uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Nie śpiewamy za dobrze i podejrzewam, że nasi sąsiedzi za tym nie przepadają, ale nam to nie przeszkadza. Wracamy z dworu nieco zmarznięci i wtedy w nagrodę objadamy się ciastkami i czekoladą.

- To miły zwyczaj - zauważył Steven.

- Mhm. A wy? Macie jakieś rodzinne rytuały?

- W wigilię Bożego Narodzenia ciotka Lucia raczy nas swoim słynnym jajecznym likierem.

- To też miłe.

- Wcale nie. Ten likier jest okropny.

- Steven - skarciła go wzrokiem, chociaż usta same jej się śmiały-jak możesz?

- Ale to prawda - bronił się, próbując zachować poważny wyraz twarzy. - Nikomu nie smakuje.

- To dlaczego go pijecie?

- Bo ona jest przekonana, że to nasz przysmak, a nikt nie ma odwagi powiedzieć prawdy. Poza tym, przyrządza go tylko raz do roku.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Steven - powiedziała Maria, poruszona jego wrażliwością.

- Bez przerwy ci to powtarzam - odparł z zadowoloną miną i szybkim ruchem wrzucił sobie jedno z ciastek do ust. - A ponieważ jesteś mądrą kobietą, pewnie nie chciałabyś, żeby ci taki facet jak ja uciekł sprzed nosa.

- Nie? - przekomarzała się Maria.

- Pewnie, że nie. Prędzej czy później na pewno to zrozumiesz i zgodzisz się na ślub.

Chcąc zmienić temat, Maria zaangażowała Stevena do pakowania pozostałych smakołyków.

- Czy planujesz wrócić do domu na święta? - zapytał po jakimś czasie Steven.

- Jeszcze się ostatecznie nie zdecydowałam.

To była prawda. Odkładała tę decyzję od kilku tygodni. Wciąż nie była pewna, jak o wszystkim powiedzieć rodzicom. Bała się ich zaskoczenia i rozczarowania, kiedy się dowiedzą, kto jest ojcem dziecka.

- Nie można już dłużej ukrywać, że jesteś w ciąży - zauważył. - Chciałbym być przy tobie, kiedy im to powiesz.

Maria ścisnęła blat stołu obiema rękami. Wiedząc, jak wielka w jej rodzinie panuje niechęć do Contich, zwłaszcza po pożarze, mogła sobie tylko wyobrażać,

jaką ta wiadomość wywoła reakcję. Nie o siebie się jednak bała, ale o Stevena.

- Proszę cię, czy możemy porozmawiać o czymś innym?

- W porządku, jeśli sobie tego życzysz - zgodził się, chociaż było jasne, że temat pozostawał otwarty.

Temat świątecznych zakupów okazał się bardziej bezpieczny i już po chwili znowu przekomarzali się wesoło. Krzatali się razem po kuchni do czasu, kiedy Steven zauważył, że Marię rozboleły plecy. Pomimo jej protestów postanowił, że sam dokończy sprzątaną, ale przedtem zaprowadził ją do salonu, posadził na kanapie przy kominku, a sam zajął się rozpaleniem ognia.

Pomysł, żeby się wyciągnąć na kanapie, okazał się zbyt nęcący, aby się dłużej spierać. Maria zrzuciła buty i podkuliła pod siebie nogi, okrywając się przy tym szczelnie kolorowym pledem. Kotka, która leżała zwinęta w kłębek na fotelu Louisa, na chwilę tylko otworzyła oczy, żeby sprawdzić, kto jej zakłóca spokój.

Kiedy pierwsze płomienie pojawiły się w palenisku, Steven wstał i otrząpał ręce.

- Za parę minut zrobi się tu naprawdę ciepło i przyjemnie - rzekł.

Maria przyglądała się jego zgrabnej sylwetce. Światło kominka rozświetlało wyrazistą twarz Stevena i odbijało się w ciepłych, troskliwych oczach. Jest taki przystojny i silny, pomyślała, a jej serce wezbrało miłością.

- Dziękuję ci - powiedziała cicho.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł wesoło. - A teraz odpoczywaj. Ja zajmę się kuchnią i za kilka minut będę z powrotem.

scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Doprowadzenie kuchni do ładu zajęło Stevenowi około pół godziny. Na dworze nadal padał gęsty śnieg i nie zanosiło się, żeby miało przestać. Z radia też nie było pocieszających wieści. Mimo to szalejąca za oknem burza śnieżna i potencjalna groźba odcięcia od świata wcale go nie przeraziły. Wręcz przeciwnie, cieszył się, że dzięki temu będzie mógł dłużej pobyć z Marią sam na sam. Być może nawet uda mu się w końcu przekonać ją, żeby wzięli ślub. Nadal uważał, że powinni podarować sobie tę szansę. Jeśli nie ze względu na ich miłość, to dla dobra ich dziecka.

Kiedy wszedł do salonu, zauważył, że Maria zasnęła. Leżała na boku z ręką podwiniętą pod głowę, z rozchyłonymi lekko ustami. Z jasną, prześwitującą jak delikatna porcelana twarzą kontrastowała chmura ciemnych włosów rozrzuconych na rdzawej poduszce. W jej śpiącej sylwetce było coś wzniosłego, pomyślał, podchodząc bliżej. Niewielkie ciało rozciągnięte na kanapie z okrągłą wypukłością brzucha wyglądało niezwykle łągodnie. Była tak piękna! Jak bezcenne dzieło sztuki.

Niczym ucieleśnienie *Madonny* Rafaela. Jaka szkoda, że sam nie potrafił malować. Taki obraz powinno się utrwalić na płótnie.

Kiedy spojrział na jej brzuch, wzruszenie chwyciło go za gardło. Miłość, duma, czułość, uwielbienie - narastające emocje omal nie rozsadziły mu piersi. Kochał Marię, jak nikogo na świecie i niech go diabli, jeśli miałyby się poddać. Nawet kosztem odrzucenia przez rodzinę. Maria była dla niego wszystkim: przeszłością, dniem dzisiejszym i nadzieją na przyszłość.

Pochylił się nad nią, żeby poprawić zsuwający się pled. Nie mogąc się oprzeć jej bliskości, schylił się jeszcze bardziej i wycisnął na jej ustach pocałunek. Maria zatrzepotała rzęsami, wolno uniosła powieki i zatrzymała na nim rozmarzony wzrok.

- Steven?

- Tak, kochanie? - wyszeptał. - Nie chciałem cię budzić. Spij.

- To ty? Naprawdę? To nie sen?

Uśmiechnął się czule i delikatnym ruchem odgarnął jej włosy z czoła.

- We własnej osobie.

Maria wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, tak jakby sama się chciała o tym przekonać.

- Śniłeś mi się - powiedziała.

• — Mam nadzieję, że dobrze - odparł i przechylając lekko twarz, pocałował wewnątrz jej dłoni.

Maria uśmiechnęła się radośnie.

- Bardzo dobrze. Byliśmy na ślubie Nicholasa i Gail, ale tak naprawdę to my braliśmy ten ślub.

- Brzmi nieźle.

- Szkoda, że to tylko sen - powiedziała ze smutkiem.

- Nie musi być tylko snem. Kocham cię, Mario.

- Ja ciebie też. Och! -jęknęła i wciągnęła gwałtownie powietrze, chwytając się za brzuch.

- Co się stało? - Ze strachu oblał go zimny pot.

Maria znowu syknęła i podparła się na łokciu.

- To nasze dziecko. Pewnie mu się zdaje, że kopie piłkę na boisku.

Steven przeniósł niespokojny wzrok z jej twarzy na brzuch i z powrotem. Był zaskoczony, widząc, że Maria znowu się uśmiecha.

- Nie rozumiem. Dobrze się czujesz? Dziecku nic nie jest?

- Czujemy się świetnie.

- Jak to? Przed chwilą...

- Czasami tak bywa, ale to normalne na tym etapie ciąży. Pewnie mu się śpieszy na ten świat.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

- Spokojnie, Steven. To dopiero za dwa miesiące. Oho, znowu zaczyna. - Maria chwyciła rękę Stevena i przytrzymała ją sobie na brzuchu. —Czujesz?

Steven zrobił wielkie oczy z przejęcia.

- Tak! Kopnęło... O, teraz znowu! - Uśmiechnął się uszczęśliwiony. - Czująś?

- A jakże - odpowiedziała z wyrozumiętym uśmiechem. -

- Głupie pytanie, wiem - zaśmiał się zakłopotany.

- Czyż to nie cudowne?

- To ty jesteś cudowna.

- Akurat, zaczynam wyglądać jak słońca. - Podniosła się trochę, próbując wstać, a Steven natychmiast podtrzymał ją ramieniem. - Dzięki. Coraz trudniej mi się poruszać.

- Moim zdaniem wyglądasz pięknie.

- Albo starasz się być miły, albo potrzebne ci okulary.

- Mówię prawdę. Cięża ci służy. Jesteś coraz piękniejsza.

- Dziękuję ci - powiedziała nieco zakłopotana, oblewając się rumieńcem.

- To ja ci dziękuję.

- Zobaczymy, czy to samo powiesz po kolacji. Obawiam się, że moje kulinarne zdolności ograniczają się do robienia ciastek i galaretki.

- To może ja przygotuję kolację? - zaproponował.

- Potrafisz gotować? - zapytała, nie kryjąc niedowierzania.

Steven obruszył się.

- Nie rozumiem, skąd to zaskoczenie. Moja rodzina prowadzi jedną z najlepszych włoskich restauracji w Bostonie. Oczywiście, że umiem gotować. Czy masz jakieś szczególne zamówienie?

- Nie. Lubię niespodzianki - rzekła z wyzywającym uśmiechem.

Kolacja, jaką przygotował Steven, okazała się kulinarnym sukcesem. Piersi kurczaka w sosie marinara, makaron i zielona sałata. Było nawet świeże pieczywo z masłem czosnkowym, a to dzięki zapobiegliwej Magdalenie, która umieściła spory zapas w zamrażarce. Wystarczyło rozmrozić i opiec.

Po kolacji nasza Marię refleksja, że to ich pierwsza prawdziwie domowa kolacja we dwoje. Oczywiście, jadali już razem, ale zawsze odbywało się to albo w hotelu, albo w jakiejś mało uczęszczanej restauracji, gdzie nie zachodziła obawa natknięcia się na znajomych.

- Czemu się tak zamyśliłaś? - zapytał Steven, podając jej garnek, żeby wytarła go do sucha.

- Przyszło mi do głowy, że w Bostonie praktycznie nigdy nie jedliśmy prawdziwie domowej kolacji.

- Nie ma w tym mojej winy - zaznaczył Steven, a Maria musiała mu przyznać rację. Wielokrotnie prosił ją, żeby zgodziła się na kolację w jego mieszkaniu albo u niej, ale jej odpowiedź zawsze brzmiała „nie”.

- Przecież wiesz, dlaczego mi zależało, żeby utrzymać nasz związek w sekrecie - odparła.

- Owszem, wiem, ale nigdy tego nie akceptowałem. Zresztą teraz to już nie ma znaczenia. Wkrótce i tak wszyscy się dowiedzą. A im dłużej będziemy zwlekać z tą wiadomością, tym będzie trudniej. - Wytarł ręce

w ściereczkę i odwiesił ją na miejsce. - Nie mamy się czego wstydzić, Mario. Niczego.

- Ja się nie wstydzę — rzekła.

Mówiła prawdę. Czuła lęk. Lęk o to, że zawiedzie oczekiwania rodziny i że zrani jej uczucia. Lęk o to, że rozczaruje Stevena. I obawa, że narazi swoje dziecko na niebezpieczeństwo.

Zbliżywszy się do niej, Steven wziął ją za ramiona i rzekł:

- W takim razie powiedz, że za mnie wyjdiesz, że razem stawimy czoło naszym rodzinom.

- Miau - przypomniała o sobie Sophia, ocierając grzbiet o nogi Stevena.

Maria postanowiła wykorzystać sytuację.

- Muszę nakarmić Sopię.

Zacisnął wargi, ale i tym razem ustąpił.

- Ja ją nakarmię - rzekł.

- Dzięki.

- Może usiądziesz w salonie i wysłuchasz prognozy pogody? - zaproponował. - Ja dam jej jeść i przygotuję gorącą czekoladę.

- Świetnie - powiedziała Maria i przeszła do salonu, żeby włączyć radio.

Nie dowiedziała się niczego nowego. Kolejne informacje o nieprzejezdnych drogach i spodziewanych nowych opadach śniegu. Po wiadomościach Maria wyłączyła radio, a nastawiła najnowszą płytę Faith Hill. Kiedy rozległy się pierwsze nastrojowe dźwięki, podeszła

do okna, odchyliła zasłonę i zapatrzyła się w ciemność nocy. Na takim odludziu nietrudno było zapomnieć o wszystkich kłopotach. W zasadzie ona i Steven mogli uchodzić za zwyczajną, zakochaną, oczekującą dziecka parę i żyć razem jak inni.

- Zmieniło się coś? - usłyszała za sobą głos Stevena. Opuściła zasłonę i odwróciła się od okna.

Steven wszedł do pokoju z tacą w rękach.

- Pada coraz mocniej. Kolejne drogi odcięte. Włączyłam muzykę, żeby o tym nie myśleć.

- I słusznie! Napijemy się gorącej czekolady - rzekł, a zaraz potem postawił tacę na podłodze przed kominem i usiadł obok.

- Nie uważasz, że na kanapie byłoby wygodniej? - zapytała.

- Pewnie tak - zgodził się. Sięgnął po leżące na kanapie poduszki i rzucił je na podłogę obok tacki. - Niestety, kijki mamy za krótkie.

- Kijki? - powtórzyła, sadowiąc się naprzeciwko.

- Na cukierki marshmallow - powiedział Steven i wyciągnął w stronę ognia długi drewniany kijek z wbitym na jego końcu kremową kulką. - Nie należałaś do skautów?

- Nie - odpowiedziała rozbawiona.

- No to co ty możesz wiedzieć o pieczeniu marshmallow? - Machnął lekceważąco ręką.

- Tak dużo straciłam? - podchwyciła jego żartobliwy ton.

- Niestety, ale nie przejmuj się. Nauczę cię. W końcu jestem w tym mistrzem.

- Ho, ho! Skromny to ty nie jesteś - zakpiła.

- Skromność jest mocno przereklamowana. A teraz patrz i ucz się. Najważniejsze to trzymać kijek pod odpowiednim kątem.

- Nie wygląda mi to na skomplikowaną czynność - zauważyła.

Steven popatrzył na nią z góry, wolno obracając kijek nad ogniem, aż biała pianka na jego końcu zmieniła kolor na złotobrazowy. Następnie zsunął kulkę ze szpi kulca, podmuchał i podał Marii do ust, uśmiechając się tajemniczo.

- • Przygotuj się na rozkosz.

Ciepła, słodka, ciągnąca się masa była rzeczywiście pyszna, ale jeszcze większą przyjemność sprawiało jej oczekiwanie na kolejne smaczne kąski, które jej podawał wprost do ust.

- Już dość - zaprotestowała w końcu, zanosząc się śmiechem. - Przysięgam, że już więcej nie zmieszczę. Raczej pękne. Już i tak wyglądam, jakbym połknęła piłkę do kosza.

- Dla mnie zawsze jesteś piękna. - Podsunął jej kolejną porcję. Maria przyjęła kęs, ale zanim zdążył się wycofać, lekko przygryzła mu palec.

- Koniec. Już dość - zakomunikowała lekko spłoszona dziwnym wyrazem jego oczu.

- Zostało ci trochę w kąciku ust - powiedział Steven.

Maria posłusznie oblizwała wargi i nagle poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Spojrzenie jego oczu było tak natarczywe, że prawie czuła na sobie ich dotyk.

- Chwileczkę - powiedział Steven zmienionym głosem. Lekko ku niej pochylony czubkiem palca zdjął drobinę z jej warg i włożył sobie do ust.

Fala gorąca oblała Marię od stóp do głów, a krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Obudziło się w niej pożądanie tym większe, że nie dopuszczała go do głosu od miesięcy. Najpierw, kiedy jej ciało nieco się zaokrągliło, unikała Stevena z obawy, że tajemnica zbyt szybko wyjdzie na jaw. Potem, po przyjeździe do Montany, starała się w ogóle nie pamiętać o wspólnych chwilach uniesienia. Ale teraz wspomnienie wróciło ze zdwojoną siłą. Czuła, jak płoną jej policzki i wilgotnieją dłonie. Bojąc się własnych reakcji, sięgnęła po filizankę z czekoladą i łapczywie przywarła do niej ustami. Wypiła duży łyk, mając nadzieję, że uda jej się poskromić własne emocje.

- Mario, spójrz na mnie - odezwał się Steven.

Kiedy zrobiła, o co prosił, wyjął jej filizankę z ręki i postawił obok. To, co nastąpiło potem, działo się jak na zwolnionym filmie. Ujął jej twarz obiema rękami i powoli pochylił się nad nią. Widziała go coraz bliżej - błyszczące niebieskie oczy, cień zarostu na brodzie, lekko rozchylone wargi. Kiedy poczuła ich ciepły dotyk, zadrżała i zamknęła oczy. Całował ją delikatnie, czule, bez pośpiechu. Nie liczył się czas ani odległy

wielki świat z jego problemami. Byli tu we dwoje i tylko dla siebie.

- Smakujesz czekoladowo - wyszeptał, wślizgując się językiem pomiędzy jej wargi - i piankowo. Słodka, taka słodka...

Zniewalał ją ustami, każdy pocałunek był jak namiętny miłosny akt. Doznawała zawrotu głowy od jego zmysłowego zapachu, smaku jego ust, wszechobecnego dotyku.

Lepiej to powstrzymaj, szeptał jej wewnętrzny głos. Ale Maria nie chciała go już słuchać. Poddała się czarowi chwili i pragnęła, żeby trwała jak najdłużej. Wiedziała, że wcześniej czy później śnieg przestanie padać, drogi zostaną odblokowane, a wtedy skończy się ta idylla i nie będą już mogli udawać, że są najzwyczajniej w świecie bardzo w sobie zakochani i nikt ani nic ich nie dzieli.

Koniec nastąpił dwa dni później, kiedy z samego rana zadzwonił telefon komórkowy Stevena. Maria chciała wyjść, żeby go nie krępować, ale dał jej znak, żeby została. Wyraz jego twarzy i napięte mięśnie całego ciała mówiły, że to nie może być żadna dobra wiadomość.

- W porządku - mówił do słuchawki Steven. - Dziś rano drogi miały już być przejezdne, no i moja komórka znowu działa. Przylecę najbliższym samolotem. Proszę mnie informować na bieżąco.

- O co chodzi? - zapytała Maria, kiedy się rozłączył.
- Czy coś się stało?
 - Dzwonił Ethan Mallory.
 - Czy Bianka i Derrick już się odnaleźli?
 - Jeszcze nie - odparł, patrząc jej prosto w oczy.
- Ale nie ma już wątpliwości, że to Derrick podłożył ogień w „Baronessie”.

Wciąż trudno jej było w to wierzyć, ale dowody mówiły same za siebie.

- A porwanie? Karen mówiła, że też jest w to zamieszany.

- Ethan telefonował właśnie w związku z tą sprawą. Emily poddała się hipnozie. Przypomniała sobie parę istotnych szczegółów, które pozwoliły federalnym powiązać żądanie okupu z Derrickiem.

- Biedna Emily. Musi jej być ciężko.
- A pomyślałaś o mojej siostrze? Ona jest tu najbardziej pokrzywdzona, a przecież niczemu nie zawiniła.

Maria wyczuła niemiły chłód w jego głosie.

- Przepraszam, nie mówię przecież, że jest inaczej. Wspomniałam tylko, że siostra Derricka, Emily, też przeżywa trudne chwile. Oczywiście, w żaden sposób nie da się tego porównać z tym, co przeżywasz ty i twoja rodzina.

Steven westchnął i rozmasował sobie kark.

- To koszmarna sprawa dla nas wszystkich. Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem.
- Masz prawo.

- Nie, nie mam - upierał się. - To przecież nie twoja wina, że tak się stało.

- A jednak Derrick to mój kuzyn.

- To, że nosisz to samo nazwisko, nie czyni cię odpowiedzialną za jego postępowanie.

- Nie sądzę, żeby twoja rodzina myślała tak samo - powiedziała z goryczą.

- Pozwól, że o moją rodzinę będę się martwił sam. Najważniejsze, że muszę wracać do Bostonu.

- To oczywiste - powiedziała Maria, ze smutkiem przyjmując powrót do rzeczywistości. Już zaczynała za nim tęsknić. - Rozumiem.

- Nie chcę wracać tam sam. Jedź ze mną.

- To nie jest chyba dobry pomysł.

- Mario... - zaczął i wyciągnął ku niej rękę, ale zrobiła krok do tyłu i nie pozwoliła się dotknąć.

- Nawet gdybym chciała, nie mogę wyjechać i zostawić Sophii na pastwę losu. Obiecałam Louisowi i Magdalenie, że się nią zaopiekuję.

- Mówiłaś, że ojciec Louisa czuje się już w miarę dobrze i że wracają za dzień albo dwa. Nic się nie stanie, jeśli zostawimy Sopię samą przez ten czas. Dostanie duży zapas jedzenia i wodę.

- Sama nie wiem, Steven - powiedziała Maria, przeżona perspektywą powrotu. Wprawdzie liczyła się z tym, że to może wkrótce nastąpić, ale nie spodziewała się, że tak szybko.

Steven podszedł do niej i wziął ją za rękę.

- Proszę cię, Mario. Jesteś mi potrzebna. Pojedź ze mną - prosił, zaglądając jej w oczy. - Jeśli nie chcesz tego zrobić dla mnie, to zrób to dla mojej siostry.

- W jaki sposób mój przyjazd do Bostonu miałby jej pomóc?

- Mogłabyś porozmawiać z Emily. Ma do ciebie zaufanie. Może tobie powie coś, czego nie powiedziała Emanowi i agentom federalnym. Mamy coraz mniej czasu. Derrick próbował puścić z dymem waszą fabrykę, porwał Biankę. Trudno przewidzieć, co mu jeszcze strzeli do głowy. Ten człowiek jest nieźrównoważony. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

- Tak.

- W takim razie rozumiesz też, że jest niebezpieczny.

Maria przypomniała sobie, ile zjadliwości było w głosie Derricka, kiedy składał jej gratulacje z okazji objęcia przez nią stanowiska dyrektora w „Baronessie”. Powiedział wtedy, że ma nadzieję, że któregoś dnia Maria dostanie to, na co zasługuje. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Może być niebezpieczny - przyznała.

- Derrick jest przebiegły. Niedługo zorientuje się, że federalni są na jego tropie, a wtedy Bianka znajdzie się w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Musimy go jak najszybciej odszukać. Proszę, pojedziesz ze mną?

- Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Musisz obiecać, że nic nikomu o nas nie powiesz.

- No dobrze, ale nie uważasz, że trudno ci będzie ukryć przed rodziną, że jesteś w ciąży?

- Nie zamierzam się z nimi kontaktować. Jeszcze nie teraz. Zobaczą się tylko z Emilią.

Steven zagryzł wargi, ale nie odezwał się słowem.

- Wiem, że muszę im powiedzieć, Steven. Zrobię to, obiecuję. Ale najpierw niech się skończy to całe zamieszanie wokół Derricka. Miejmy pewność, że Biana jest cała, zdrowa i bezpieczna.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Spóźnia się - powiedział Steven, kiedy wieczorem tego samego dnia czekali na Emily w biurówcu „Baronessy”. - Może zadzwonisz do niej jeszcze raz?

- Czekamy dopiero od dziesięciu minut. Nie martw się. Przyjdzie na pewno - uspokajała go Maria.

Nie mogąc się doczekać Emily, Steven przemierzał gabinet Marii tam i z powrotem, co chwila zerkając na zegarek. Być może Mallory i agenci federalni będą mu mieli za złe, że znowu się wtrąca, ale, do diabła, Bianka to jego siostra. Nie może czekać z założonymi rękami, aż wreszcie wpadną na jej ślad. Wtedy może być już za późno. Na myśl o tym poczuł bolesny skurcz w żołądku. Gdyby mniej przejmował się własnymi sprawami, a bardziej zaangażował się w poszukiwanie siostry, kto wie, może już by się odnalazła.

- Steven, jak będziesz tak chodził w kółko, to mi wydepcesz dziury w wykładzinie. Uspokój się, ona tu zaraz przyjdzie.

- Nie mogę. Ciągle myślę o tym, jak bardzo Bianka musi się teraz bać.

- Przykro mi. Szkoda, że nie mogę nic dla ciebie zrobić.

- Wręcz przeciwnie, możesz. Żeby tylko Emily wreszcie przyszła. Wiem, że Bianka na mnie liczy. Zawsze bytem przy niej, kiedy mnie potrzebowała.

- Odnajdziesz ją, na pewno - zapewniła Maria.

- Ona jest taka delikatna, ufna i... - umilkł, bo oczyma wyobraźni zobaczył ją w jakimś obskurnym magazynie, związaną i przerażoną, zdaną na pastwę okrutnego Derricka Barone. - Boże, pomóż mi! Jeśli ten drań ją skrzywdził, to ja go... - Zaciśnął zęby, zaklął i odwrócił się plecami.

Wciągnął powietrze, przetarł ręką twarz i odwrócił się do Marii.

- Przepraszam cię. Nie powinienem tego wszystkiego mówić.

- To zrozumiałe. Mogę sobie tylko wyobrażać, co czujesz. Może się czegoś napijesz? W lodówce jest mineralna i zimne napoje.

- Nie, dziękuję.

- A ja napiję się wody - powiedziała Maria i podeszła do lodówki.

Steven powiódł za nią wzrokiem. W gabinecie paliła się tylko jedna lampa, ale i tak było dość światła, żeby zauważył, jak bardzo wystrój tego pomieszczenia przypominał ją samą. Przeważały neutralne odcienie piasku i kości słoniowej, przełamane mocniejszymi barwami żywej zieleni, kwiatów i obrazów. Nic tu nie było przypadkowe.

Niewymuszona elegancja i urok tego miejsca zaskakiwały rozwiązaniami, które czyniły z tego pokoju coś więcej niż tylko gustownie urządzone biuro. Nie pozostawiały obojętnym, podobnie jak jego właścicielka.

Maria podeszła do biurka z butelką wody w ręce. Miała na sobie czarny golf i stalowy żakiet, a na szyi srebrny wisiołek, który migotał w świetle lampy. Usiadła za biurkiem i popijała wodę, nie przestając pstrykać końcówką długopisu.

To z nerwów, pomyślał Steven. Nic dziwnego. On sam miał nerwy jak postronki. Wciąż miał w pamięci to, co na koniec powiedział mu Mallory. „Będę z tobą szczerzy, Conti. Po rozmowie z Emily wiem jedno: facet ma nierówno pod sufitem. Nie da się przewidzieć, co jeszcze mu strzeli do głowy”.

- Dlaczego, u diabła, jeszcze jej nie ma? - rzekł zniecierpliwiony, a wtedy, jak na zawołanie, odezwał się dzwonek przy windzie.

- To na pewno Emily ^ ucieszyła się Maria.

W samą porę, pomyślał Steven, wypatrując jej w półmroku. Ku jego zaskoczeniu, nie była sama. Towarzyszył jej wysoki, jasnowłosy mężczyzna.

- Maria! - wykrzyknęła radośnie Emily i rzuciła się w stronę kuzynki, nie zwracając uwagi na Stevena. - Nie wierzę, że to naprawdę ty. Gdzie się podziewałaś? I dlaczego spotykamy się tutaj? A właściwie... - urwała, po czym cofnęła się trochę i popatrzyła zaskoczona na jej wystający brzuch.

- Jestem w ciąży - oznajmiła Maria, patrząc jej w oczy.

- Jak to? Kto...? - Emily przeniosła wzrok na Stevena, jakby nagle przypomniała sobie o jego obecności.

- Och!

- Ja jestem ojcem dziecka - rzekł Steven, stając u boku Marii i obejmując ją ramieniem. - Zamierzam się z Marią ożenić, niezależnie od tego, czy się to komu spodoba, czy nie - dokończył, chcąc od razu jasno określić swoje stanowisko.

- Rozumiem - wymamrotała oszołomiona Emily.

- Oprócz Karen, a teraz ciebie i Shane'a - Maria zwróciła się też do stojącego obok Emily mężczyzny - nikt nie wie ani o nas, ani o tym, że jestem w ciąży. To dlatego prosiłam cię, żebyś nikomu nie mówiła o dzisiejszym spotkaniu. Będę wdzięczna, jeśli w dalszym ciągu zachowacie to dla siebie.

- Nic nikomu nie powiemy - zapewniła Emily. - Prawda, Shańe?

- Absolutnie - zapewnił Shane. - Przyjmij moje gratulacje, Mario. Pan też - dodał, zwracając się do Stevena.

- Chyba nie mieliśmy się jeszcze okazji poznać - powiedział Steven, podając mu rękę. - Steven Conti.

- Shane Cummings - przedstawił się Shane, odpowiadając uściskiem ręki. - Gasiłem pożar biura, gdzie Emily została ranna. Conti... Restauracja „U Antonia”? Z tych Contich, co to rzucili kłutwę na rodzinę Barone?

- Zgadza się - odparł Steven.

- Dania włoskie „U Antonia” nie mają sobie równych - zauważył z przyjaznym uśmiechem Shane. - Raz na jakiś czas raczę się tam manicotti.

- Cóż, dziękuję w imieniu rodziny - rzekł Steven i postanowił przejść do sedna. - O ile wiem, dochodzenie w sprawie podpalenia jest już zakończone. Derrick Barone to zrobił, prawda?

- Zgadza się, ale Emily musi mi jeszcze odpowiedzieć na parę pytań. Postanowiłem dokładniej ją przesłuchać. W związku z tym... pobieramy się! - oznajmił triumfalnym tonem Shane.

Steven mógł im tylko pozazdrościć. Nie musieli ukrywać miłości tak jak on i Maria. Mogli dzielić się swoją radością z całym światem. On i Maria nigdy nie mogli sobie pozwolić na taki luksus. Ale to się zmieni, obiecał sobie. Jak tylko odnajdą Biankę.

- Przykro mi, ale muszę od razu przejść do rzeczy, bo nie mamy zbyt dużo czasu. Emily, czy Maria powiedziała ci, dlaczego chce się z tobą widzieć?

Emily skinęła głową.

- Powiedziała, że potrzebna jej moja pomoc.

- Steven uważa... To znaczy, my uważamy... - poprawiła się Maria, zerkając w stronę Stevena i ściskając jego rękę. - Mamy nadzieję, że jeśli ze mną porozmawiasz, może przypomnisz sobie jakiś szczegół, który pomoże nam w odnalezieniu miejsca, gdzie Derrick przetrzymuje Biankę.

Emily zrobiła zawiedzioną minę i spojrzała na Stevena.

- Wszystko powiedziałam już Mallory'emu i agentom federalnym. Wiercie mi, gdybym wiedziała coś ponad to, na pewno bym wam o tym powiedziała. Przysięgam.

- Wiem, że tak, Emily - odparła Maria, ujmując jej ręce. - Ale przynajmniej porozmawiaj z nami. Kto wie, może akurat przypomnisz sobie jakiś istotny szczegół.

- Nie widzę sensu, żeby Emily miała przez to znowu przechodzić - zaproponował Shane.

- W porządku - rzekła Emily. - Chcę pomóc. Może przynajmniej w ten sposób zadośćuczynię za to, co zrobił mój brat. Od którego momentu mam zacząć?

- Zaczniemy może od tygodnia, w którym wydarzył się pożar...

- To wszystko? - parsknął zniecierpliwiony Steven po wysłuchaniu prawie półgodzinnej relacji Emily. - A tuż przed pożarem? Może twój brat z kimś się spotkał? Albo opowiadał o jakimś miejscu, gdzie się umówił?

- Przykro mi, ale nie pamiętam - odpowiedziała zmęczonym głosem Emily, dla której przypomnianie całej tej historii było w istocie przeżywaniem jej od nowa.

- No, ale nadal jesteśmy w martwym punkcie - de-nerwował się Steven.

- Myślę, że Emily ma już dość twoich pytań. - rzekł zdecydowanym tonem Shane i wstał od stolika, wokół którego zgromadziła się cała czwórka. - Idziemy, Emily.

Steven zerwał się od stołu i zmierzył Shane'a wrogim spojrzeniem.

- Jej cholerny brat więzi moją siostrę, czy ty to rozumiesz?! Ona jest naszą jedyną nadzieją.

- Bardzo ci współczuję, ale Emily też wiele przeszła i musi odpocząć. - Shane nie zamierzał ustępować.

- W porządku, Shane - wtrąciła się Emily, widząc, że temperatura sporu niebezpiecznie się podnosi. - Nic mi nie jest.

- Przecież widzę, co się z tobą dzieje - powiedział podniesionym głosem Shane. - Nie musisz przez to znowu przechodzić. Nie jesteś nikomu nic winna.

- Mylisz się - odrzekła Emily. - Mój brat jest chory. Nie wiem, jak mogłam nie zauważyć, że dzieje się z nim coś złego. - Wytarła łzę na policzku. - Ja też chcę go odnaleźć. Muszę przynajmniej spróbować.

- Dziękuję ci, Emily - powiedział już spokojniej Steven i usiadł na swoim miejscu.

Emily skinęła głową.

- Co jeszcze chcecie wiedzieć?

- Może Steven jest na właściwym tropie - zaczęła Maria. - Mówiłaś, że niejaki Snowcream dzwonił do Derricka.

- Zgadza się. Mówiłam o nim wujkowi Carlowi.

- A przedtem? Może miało miejsce coś nietypowego?

Emily zamyśliła się, próbując sobie przypomnieć jakieś istotne fakty. I wtedy przypomniała sobie dzień, kiedy Ona i Derrick umówili się na lunch. Czekwała na niego w jego gabinecie. Mieli porozmawiać o prezencie i przyjęciu dla rodziców z okazji rocznicy ich ślubu.

Emily rzuciła okiem na zegarek i postukała niecierpliwie stopą o podłogę. Znowu się spóźnia, pomyślała, marszcząc brwi. Czemu się tak bezmyślnie zachowuje? Wczoraj znowu się naraził* spóźniając się na zebranie w firmie. Cóż, przyznawała, że nie było mu łatwo. Był przekonany, że wszyscy porównują go do Daniela, jego brata bliźniaka, i wszystkim miał to za złe. To, oczywiście, był tylko jego wymysł, westchnęła Emily. Czasami trudno było go zrozumieć.

Ponownie zerknęła na zegarek. Może powinna zadzwonić na jego telefon komórkowy? Już miała to zrobić, kiedy zadzwonił telefon na jego biurku. Sekretarka Derricka wyszła na lunch, więc Emily postanowiła sama odebrać.

- Biuro Derricka Barone. Słucham.

- Czy jest Derrick? - usłyszała w słuchawce lekko zdyszany kobiecy głos. Brzmiał niezwykle podobnie jak głos Amber, żony najbliższego przyjaciela Derricka.

- Amber? - zapytała Emily.

- Ja odbiorę. - Derrick wyrwał jej słuchawkę z rąk.
 - Wiem, kochanie. Też za tobą tęsknię, ale miałem dużo pracy i nie mogłem się wyrwać - mówił do kobiety po drugiej stronie linii. - Tak, ja też. Obiecuję, że ci to wynagrodzę. - Przerwał, żeby spojrzeć na zegarek. - Może spotkamy się około czwartej, tam gdzie zawsze?

- Czy to była Amber Hopkins? - zapytała Emily, kiedy odłożyła słuchawkę.

- Oczywiście, że nie. Czy umawiałbym się na spotkanie z żoną Larry'ego?

- No, chyba nie.

- Sama widzisz. To nie była Amber - skwitował Derrick.

Emily bardzo chciała mu wierzyć i wyrzucała sobie takie podejrzenia w stosunku do własnego brata. Z drugiej strony, miał dziwny wyraz oczu, kiedy rozmawiał z tą kobietą. Taki sam, jak wtedy, gdy rozbił samochód pożyczony od Daniela, a potem zarzekał się, że ktoś inny w niego uderzył.

- Dałabym sobie głowę uciąć, że to Amber.

- A jednak to nie ona - upierał się rozdrażniony Derrick.

- W takim razie kto? - nie dawała za wygraną Emily.

- Co to? Zabawa w dwadzieścia pytań? Ktoś, z kim się spotykam - uciął. - Jesteś gotowa do wyjścia na lunch?

- Tak - odparła krótko. Wiedziała, że Derrick nie jest z nią szczery, ale postanowiła nie drażnić tematu.

Ponaglana przez niego do wyjścia zaczęła torebką

o plik listów na rogu biurka i wszystkie posypały się na podłogę.

- Och, zobacz, co zrobiłam! - Przykucnęła, żeby je pozbierać.

- Zostaw - rzekł.

- Nie - oznajmiła stanowczo i zaczęła zbierać porzucane listy i koperty.

Jej brat mamrotał coś pod nosem niezadowolony, ale schylił się, żeby jej pomóc.

- Kim jest Anthony Woodward? - zapytała Emily, zauważając nieznaną nazwisko na jednej z kopert.

- Nie mam pojęcia - odparł, wrywając jej kopertę z ręki. - Pewnie dostarczono mi jego pocztę przez pomyłkę.

Zdziwiło ją, że nie odłożył koperty na biurko jak wszystkie inne, ale wrzucił do swojej teczki. Wkrótce potem wyszli.

- Emily? Emily? - wyrwał ją z zamyślenia głos Marii. - Jesteś tu z nami?

- Właśnie przypomniałam sobie wydarzenie sprzed kilku miesięcy - odezwała się Emily i opowiedziała im o tym. - Nie wiem dokładnie, jak to rozumieć, ale jestem przekonana, że Derrick mnie wtedy okłamał. Niejasna jest też sprawa tego adresu na kopercie.

- Czy nazwisko Anthony Woodward nic ci nie mówi? - zapytał Steven.

- Nic.

- Chwileczkę - odezwała się podekscytowanym głosem Maria. - Emily, jak brzmi panięńskie nazwisko cioci Sandry?

- O mój Boże! - Emily otworzyła oczy ze zdumienia. - Faktycznie, moja matka nazywała się Woodward. A Anthony... To przecież drugie imię Derricka!

Steven chwycił komórkę i wystukał jakiś numer.

- Centrala? Potrzebuję listę osób o nazwisku Anthony Woodward, łącznie z adresami, jeżeli to możliwe.

Emily czuła, jak mocno bije jej serce. Z jednej strony chciała, żeby to był jej brat, ale z drugiej modliła się, żeby ta cała sprawa okazała się jedną wielką pomyłką. Wbrew wszelkim dowodom wskazującym na Derricka jako podpalacza i sabotażystę, nie chciała uwierzyć, że dopuścił się czegoś tak straszego jak porwanie.

- Trafiony - powiedział po chwili Steven. Odłożył słuchawkę i pomachał kartką z notatkami. Przytulił do siebie Marię, pocałował ją w usta, a potem rzekł: - Dziękuję ci, że zgodziłaś się ze mną tu przylecieć i mi pomóc.

- Nie ma za co - odpowiedziała radośnie rozpromieniona Maria. - To już raczej Emily należą się podziękowania.

Steven podszedł do Emily i wziął ją za rękę.

- Wybacz, stary - rzucił w stronę Shane'a, a następnie serdecznie pocałował Emily w czoło.

- Emily, bardzo ci dziękuję - powiedział, patrząc na nią błyszczącymi z emocji oczyma. - Wiem, że to było dla ciebie niezwykle trudne i przykre, więc tym bardziej

doceniam twoje poświęcenie. Moja siostra zawdzięcza ci życie. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł spłacić ten dług.

- Nic mi nie jesteś winien - odparła Emily. - Mam nadzieję, że twoje przypuszczenia są słuszne i że znajdziesz siostrę pod tym adresem. Oby całą i zdrową!

- Dzięki. - Spoważniał. - Muszę już iść. Mario, może pojedziesz do domu razem z Emily i Shane'em?

- Jadę z tobą - oznajmiła Maria.

- Ale...

- Jadę z tobą - powtórzyła zdecydowanym głosem.

- Lepiej od razu się poddaj, Conti - zażartował Shane.

- Kiedy panna Barone coś postanowi, nie ma mocnych.

- No, dobrze, w takim razie chodźmy. - Steven skierował się do wyjścia.

- Steven! - zawołała za nim Emily. - Derrick ma...

- Z trudem przełknęła ślinę. - Kiedyś miał broń.

- Będę uważał. Dzięki za ostrzeżenie.

- Proszę - dodała Emily, kiedy już znikali za drzwiami - nie zróbcie mu krzywdy.

Maria wyobrażała sobie, jak bardzo Emily musi w tej chwili cierpieć.

- Znam to miejsce, gdzie Derrick ma mieszkanie - powiedział Steven. - Dojazd zajmie od trzydziestu do czterdziestu minut.

- Powiadomisz FBI i Ethana o tym, czego się dowiedzieliśmy? - zapytała Maria.

- Jeszcze nie teraz - odparł, otwierając przed nią drzwi samochodu.

- Steven, co ci chodzi po głowie? - Maria popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Pojadę na miejsce i dopiero wtedy zadzwonię do Mallory'ego. On może powiadomić federalnych, jeśli chce. W ten sposób nikt mi już nie powie, że bym trzymał się z daleka. - Zatrzasnął za Marią drzwi, obszedł samochód dookoła i wślizgnął się za kierownicę.

- Pewnie nie ma sensu cię namawiać, żebyś od razu oddał tę sprawę w ręce policji - rzekła Maria, zapinając pas bezpieczeństwa.

- Bianka jest moją siostrą. Muszę to dla niej zrobić.
- Włączył silnik i zerknął na Marię. - Ale wolałbym, żebyś najpierw pozwoliła mi odwieźć się do miejsca, gdzie będziesz bezpieczna.

Maria pokręciła głową.

- Do licha! Słyszałaś, co mówiła Emily. Derrick ma broń. Ten facet jest niebezpieczny. Jeżeli nie chcesz jechać do siebie, możesz poczekać w moim mieszkaniu. Jak tylko będę coś wiedział, zaraz dam ci znać.

- Nie.

- Ale... No dobrze, ale obiecaj mi, że będziesz ostrożna i nie zrobisz nic na własną rękę.

- Obiecuję - powiedziała Maria, modląc się w duchu, żeby mogła dotrzymać słowa.

Dwadzieścia pięć minut później zatrzymali się przed wysokim apartamentowcem.

- Dlaczego Derrick miałby tu wynajmować mieszkanie i to pod przybranym nazwiskiem? - zastanawiała się głośno Maria.

Steven wzruszył ramionami.

- Jest wiele powodów. Może mógł się tutaj bezpiecznie spotykać z ludźmi z konkurencji, nie ryzykując, że ktoś ich zobaczy. Liczył na wysoki zysk ze sprzedaży receptur „Baronessy”. A może już od miesięcy planował to porwanie.

Wyjął komórkę i wystukał numer.

- Mówi Steven. Jestem w Bostonie i chyba wiem, gdzie Derrick przetrzymuje Biankę. - Na chwilę oddalił słuchawkę od ucha, żeby dać się wykrzyczeć komuś po drugiej stronie. - Jeśli przestaniesz wrzeszczeć, to podam ci adres. - Steven podał rozmówcy nazwę i numer ulicy, a następnie dodał: - Jestem na miejscu. Wchodzę do budynku.

Zanim się rozłączył, Maria usłyszała, jak ktoś bardzo zdenerwowany krzyczy na Stevena i przeklina.

- Ethan i agenci federalni są już w drodze. Poczekaś tu na nich i wyjaśnisz sytuację. Nie zapomnij powiedzieć, że Derrick może mieć broń.

- A ty? Dokąd idziesz?— zapytała przestraszona Maria, szarpiąc pas bezpieczeństwa.

- Do środka - rzekł Steven i zanim wyswobodziła się z pasa i odblokowała zamek, był już po drugiej stronie ulicy, biegnąc w stronę budynku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Steven wiedział, że Maria nie daruje mu tego podstępu i że słono mu przyjdzie za to zapłacić. Nic jednak nie było tak ważne, jak jej bezpieczeństwo.

Jakaś para zbliżała się właśnie do wejścia. Począł, aż otworzą drzwi i wejdą do środka. Zanim drzwi zdążyły się zatrzasnąć, przytrzymał je i przez nikogo nie zauważony wszedł do budynku. Minał windę i bez trudu znalazł wejście wiodące na klatkę schodową. Pokonywał po dwa schodki w górę. Na wysokości piątego piętra sprawdził czas na zegarku. Mallory i jego ludzie powinni dotrzeć na miejsce za kilka minut. Oby im się tylko udało powstrzymać Marię przed wejściem do budynku!

Kiedy dotarł na ósme piętro, otworzył drzwi i wszedł do wyłożonego grubą wykładziną korytarza. Wokół pannaowała grobowa cisza. Steven ruszył przed siebie, sprawdzając numery na drzwiach mijanych mieszkań. Numer 805 znajdował się na samym końcu. Przytknął ucho do drzwi i nasłuchiwał, co dzieje się w środku.

- Uważaj! - usłyszał okrzyk Bianki.

W tej samej chwili drzwi pokoju niespodziewanie się otworzyły, Steven zachwiał się i wpadł do środka.

- No, proszę! Kogo my tu mamy...? - powiedział szyderczym tonem Derrick. - Conti węszy pod drzwiami!

Steven poderwał głowę i serce podeszło mu do gardła. Derrick, wysoki mężczyzna o jastrzębich rysach, jedną ręką ścisnął szyję Bianki, a w drugiej trzymał wymierzony w jej głowę pistolet.

- Puść ją, Barone! - krzyknął do niego Steven, ale zanim zdążył poderwać się z podłogi, Derrick ostrzegawczo machnął w jego stronę bronią.

- Ja tu wydaję rozkazy, Conti, nie ty - rzekł. - Połóż ręce tak, żebym je widział. A teraz podnieś się. Bardzo powoli.

Steven posłusznie wykonał polecenie. Postanowił, że nie może ryzykować. W spojrzeniu Derricka jawiła się determinacja szaleńca. Nie sposób przewidzieć, co mu strzeli do głowy.

- A ty może odłóżysz broń i puścisz moją siostrę. Porozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną - zaproponował opanowanym głosem.

Derrick zaśmiał się, jakby usłyszał dobry żart.

- Nie mamy o czym. No, chyba że masz przy sobie dziesięć milionów dolarów.

- Przy sobie nie mam, ale mogę załatwić. Tylko najpierw pozwól mojej siostrze odejść.

- Nie - warknął Derrick, mocniej zaciskając ramię wokół szyi Bianki.

Bianka zakasłała. Szarpała jego ramię obiema rękami, próbując poluzować uścisk.

- Udusisz mnie - powiedziała z trudem.
 - Puść ją!
 - Ani kroku dalej! - Derrick wymierzył w Stevena pistolet. - Przysięgam, jeszcze jeden krok, a zastrzelę cię, a potem ją.

- Derrick, przestań!

Steven odwrócił się w kierunku drzwi i, ku swojemu przerażeniu, zobaczył wbiegającą do środka Marię.

- Wyjdź stąd! - rozkazał jej.

- No, no, no - powiedział wolno Derrick i rozciągnął twarz w złośliwym uśmiechu. - Moja droga kuzyneczka! Wróciłaś z urlopu, Mario? A to co? - Ruchem broni wskazał jej brzuch. - Nasza chodząca niewinność zaszła w ciążę? Ciekawe z kim.

- Zostaw ją w spokoju. - Steven zasłonił Marię swoim ciałem.

Derrick przyglądał się im przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

- A to ci historia! Panna Barone i pan Conti!

- Zamknij się! - Steven miał ochotę rozkwasić Derrickowi twarz.

Śmiech zamarł na ustach Derricka. W jednej sekundzie maskę wesołka zamienił na twarz ponuraka.

- Nie mów tak do mnie - wycedził ze złowrogim błyskiem w oku. - Nikomu nie wolno tak do mnie mówić. Już nikt nigdy nie będzie mi mówił, co mam robić. Ja, tylko ja, wydaję tu rozkazy. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparł Steven przez zaciśnięte zęby.

Musiał zyskać na czasie, dopóki nie przyjadą Mallory i federalni. - Może jednak odłożysz broń i porozmawiamy.

- Nie — rzekł Derrick.

- Dlaczego to robisz? - zapytała Maria, stając obok Stevena.

- Dlaczego? Dla pieniędzy, oczywiście.

- I dlatego zażądałeś okupu?

- Ależ z ciebie głupia dziwka! - Derrick spojrzał na Marię z pogardą. - Nie pojmuję, jak babka mogła oddać komuś takiemu „Baronessę”. Tak, zażądałem okupu. A co, nie należy mi się od was za te wszystkie lata? Za to, jak mnie traktowaliście? Dziesięć milionów dolarów pomoże mi zacząć wszystko od nowa, gdzieś daleko stąd. Wyjadę jak najdalej od tego śmierzącego miasta i od was wszystkich.

- Mój Boże - powiedziała Maria, przerażona zaciętością w jego głosie. - Jak ty nas nienawidzisz.

- Zgadza się.

- I dlatego podłożyłeś ogień w biurze?

- To przy okazji. Nie mogłem dopuścić, żebyście się dowiedzieli, że spotykam się z konkurencją. Snow-cream zaoferował mi niezłą sumkę.

- Przez ciebie mogła zginąć Emily.

- Nie przeze mnie, ale przez własną głupotę. Miało jej tam nie być. Popsuła mi szyki i musiałem improwizować.

- Improwizować? - powtórzył Steven, kątem oka spozostregając jakiś ruch na schodach przeciwpożarowych.

- A tak - oznajmił triumfalnie Derrick. - Po prostu zwałem to na was.

- Jak mogłeś? - mówiła z wyrzutem Maria. - Jak mogłeś ryzykować wszystko, na co Marco i Angelica tak ciężko pracowali? Mogłeś zniszczyć całe nasze dziedzictwo.

- Nie nasze, a twoje - poprawił ją Derrick. - Twoje, Daniela, Emily, Claudii i całej reszty.

- Twoje też. Przecież ty także nazywasz się Barone.

- O nie! Ja jestem Derrick Nieudacznik.

Steven dostrzegł drugi cień za oknem. Rozpoznał w nim Reese'a Jacksona, jednego z agentów FBI, którzy prowadzili sprawę porwania. Modlił się w duchu, żeby Derrick niczego nie zauważył.

- Takiemu - ciągnął Derrick - nikt nie odważy się powierzyć żadnego ważnego zadania.

- To nieprawda. Przecież jesteś członkiem zarządu „Baronessy”.

- Też mi coś! Powiniennem być jej dyrektorem. Nie Nicholas, nie Joseph, ani tym bardziej ty. Jestem bystrzejszy od was wszystkich. Miałem świetne pomysły. Dzięki nim „Baronessa” mogła wreszcie wypłynąć na szerokie wody. Ale nikt mnie nie chciał słuchać. Ani babka, ani wuj Carlo, ani nawet moi starzy.

- Ale teraz Maria cię wysłucha, prawda? - Steven zwrócił się do Marii. Nie mógł znieść widoku swojej siostry, szamocącej się z ramieniem, które coraz bar-

dziej zaciskało się na jej gardle. - Może opowiesz jej o tych pomysłach.

- Chętnie posłucham - podchwyciła Maria. - Opowiedz mi o nich, Derrick.

- Teraz jest już za późno - odparł.

- Wcale nie - odrzekła Maria. - Nie zapominaj, że jestem w ciąży. Dziecko urodzi się w lutym. Wróciłam, żeby wam o tym powiedzieć i złożyć rezygnację.

- Twojej rezygnacji nie przyjmą. Jesteś ich oczkiem w głowie.

Maria pokręciła głową.

- Już nie. Nawet nie wiem, czy będą chcieli ze mną rozmawiać, kiedy się dowiedzą, że Conti jest ojcem dziecka. Ktoś musi przejąć po mnie zarządzanie firmą. Ty byś się do tego świetnie nadawał.

- Kłamiesz - powiedział Derrick, patrząc na nią spod przymrużonych powiek. - Inaczej nie prosiłabyś o zastępstwo Karen, a potem Mimi.

- Popełniłam błąd - stwierdziła Maria. - Przepraszam cię. Niemniej wszystko da się naprawić. Polecę cię Nicholasowi i wujkowi Carlowi. Na pewno zrobią to dla mnie.

Derrick zawahał się, rozluźniając nieco ucisk na szyi Bianki. Steven wstrzymał oddech, widząc, że Derrick nie trzyma już tak kurczowo broni jak przedtem. Jednocześnie śledził kątem oka to, co się działo za oknem przy schodach przeciwpożarowych. Jackson i jeden z jego ludzi szamotali się z oknem. Wyglądało na to, że

je zaraz wybija, a wtedy Derrick może wpaść w szal i Bóg wie co się jeszcze może zdarzyć.

- Posłuchaj jej, Barone - odezwał się Steven, chcąc zająć czymś jego uwagę. - Możesz mieć to, czego chcesz. Możesz zostać naczelnym w „Baronessie”, ale tak się nie stanie, jeśli zrobisz teraz jakieś głupstwo i komuś z nas stanie się krzywda. Na twoim miejscu odłożyłbym broń.

W tym momencie dało się słyszeć skrzypnięcie za oknem i Derrick natychmiast przyjął postawę obronną.

- Okłamałaś mnie! Chciałaś mnie oszukać! - wrzasnął, celując do Marii z pistoletu.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Jackson i jego pomocnik wskoczyli przez okno do pokoju.

- FBI!

- Cofnąć się! - krzyknął Derrick, mocniej zaciskając ramię na szyi Bianki. Krzyknęła z bólu. Twarz jej poczerwieniała i widać było, że ledwie może oddychać.

- FBI - powtórzył Jackson, trzymając Derricka na muszce. - Odłóż broń, Barone, i puść dziewczynę. Buddynek jest otoczony. Nie masz wyjścia.

- Mylisz się. Wyjdę, a ona będzie moją przepustką.
- Derrick jeszcze mocniej przyciągnął Biankę do siebie, trzymając ją na linii strzału. - Odwołaj ich albo skreć jej kark.

Bianka rozpaczliwie wbiła palce w jego ramię. Drapała go do krwi, ale Derrick jakby wcale tego nie uważał.

- Na miłość boską, Reese, posłuchaj go! - krzyknął Steven do Jacksona.

- Pete, powiedz chłopakom, żeby nie strzelali! - zawołał w kierunku okna Jackson.

- A teraz - Derrick machnął pistoletem w stronę Jacksona - połóż broń na podłodze.

Jackson zawahał się, ale Derrick ścisnął mocniej krtań Bianki, nie dając mu wyboru.

- On też. - Derrick wskazał na drugiego agenta, który posłusznie odłożył broń.

- Teraz możesz ją puścić - powiedział Jackson.

- O, nie! Mówiłem przecież, że jest moją przepustką do wolności. Teraz chcę, żebyście...

Nie dokończył, bo Bianka z całej siły uderzyła go łokciem w brzuch. Zaskoczony niespodziewanym atakiem jęknął z bólu i zwolnił uścisk, a wtedy wykonała mocne kopnięcie do tyłu. Rażony w samo krocze zatoczył się na ścianę. Bianka uwolniła się, zakręciła wokół własnej osi i silnym kopnięciem karate uderzyła go w ramię. Steven i Jackson ruszyli w jego stronę, ale Derrick zdążył odzyskać równowagę.

- Cofnijcie się! - krzyczał, wymachując pistoletem. Jego drugie ramię zwisało jak podcięte skrzydło. - Do tyłu albo zacznę strzelać. Przysięgam, że to zrobię!

Steven i agenci zamarli w bezruchu.

- A teraz wszyscy pod ścianę - rozkazał Derrick.

- Daj spokój, Barone - powiedział Jackson, dołączając do pozostałych. - Nie masz wyjścia.

Derrick patrzył na nich wzrokiem szaleńca. Nie przestając mierzyć do nich z broni, zaczął się powoli wycofywać w kierunku rozbitego okna i schodów przeciwpożarowych.

- Derrick, proszę, rób, co mówi - odezwała się błagalnym tonem Maria. - Odłóż pistolet, zanim komuś stanie się krzywda.

- Nie - odparł Derrick. - Do więzienia nie pójde.

- Derrick, proszę cię - powtórzyła Maria, podczas gdy Derrick wszedł już na parapet i sięgał stopą schodów przeciwpożarowych.

- Nie rób tego, Barone - odezwał się Jackson.

Steven nagle przejrzał zamiary Derricka. Nie chciał, żeby Maria i jego siostra były świadkami tego, co się miało wydarzyć.

- Popełniasz błąd - powiedział. - Wcale nie musisz tego robić.

- Muszę - odpowiedział Derrick, wystawiając drugą stopę za okno. - Mówiłem już, nie pójde do więzienia. Nie mogę.

Zanim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić, wyskoczył.

Bianka stała na chodniku otulona w kurtkę agenta Jacksona i patrzyła, jak przenoszą ciało Derricka Barone do policyjnej karetki. Czuła się tak, jakby obudziła się z jakiegoś koszmarne snu.

- Zachowała się pani dzielnie, ale niezbyt mądrze - rzekł agent Jackson. - Mogła pani zginąć.

- Nie zginęłam - skwitowała Bianka, której nie podobał się jego mentorski ton.

- Nie, ale mało brakowało. Co pani przyszło do głowy, żeby zamierzać się na faceta dwa razy większego od pani? Szczęście, że nie skręcił pani tej ślicznej szyjki.

- Szczęście nie miało z tym nic wspólnego - odparowała podniesionym tonem. - Wiedziałam, co robię. Mam czarny pas karate.

- Jeden pas czy dziesięć, co za różnica? Mądre to nie było. Nie wolno się narażać na niepotrzebne ryzyko.

- To moja szyja, i nikomu nic do tego - nastroszyła się Bianka. Nie mogła pozwolić, żeby pouczał ją jakiś macho. - Zamiast mnie krytykować, mógłby mi pan podziękować. Ocaliłam też pański kark.

- Nie rozumiem.

- Gdybym się na niego nie rzuciła, mógł zastrzelić pana i pańskiego partnera.

- O co chodzi? - zapytał Steven, dołączając do nich z Marią wspartą na jego ramieniu.

- Agent Jackson i ja rozważamy właśnie, czy powinien mi podziękować czy nie. Przecież gdyby nie ja, mógł zarobić kulkę.

- Mój Boże... - westchnęła Maria, wtulając twarz w ramię Stevena.

- Przepraszam. - Bianka pożałowała ostrego tonu.

Teraz, kiedy miała już za sobą traumatyczne przeżycia ostatnich tygodni, kiedy czuła się znowu wolna i bezpieczna, niełatwo ją było czymś zaskoczyć. Szok,

jaki przeżyła na początku, dowiadując się, z kim spotyka się jej brat, minął. Maria stała się jej kimś bliskim, tym bardziej że nosiła w łonie dziecko jej ukochanego brata.

- Nie ma za co. - Maria przyjęła chusteczkę od Stevena i otarła łzy napływające jej do oczu. - To mnie jest przykro z powodu tego, co wyrządził mój kuzyn.

- Przyznam, że szczerze nienawidziłam go za to, co musiałam przejść i co zrobił mojej rodzinie, ale nie spodziewałam się... - Bianka urwała i przełknęła ślinę.
- Nie chciałam, żeby to tak się dla niego skończyło.

Maria pokiwała głową i spojrzała na Stevena.

- Muszę o wszystkim powiadomić Emily, a także ciocię Sandrę i wujka Paula.

- Nie zostawisz jej samej, prawda? - upewniła się Bianka.

- A rodzice i ciocia Lucia? Pewnie umierają z niepokojem o ciebie.

- Zaraz do nich pojedę."

- W takim razie zadzwonię do nich później. Myślę też, że najwyższa pora, żebyśmy zorganizowali spotkanie Contich i Barone. Im wcześniej, tym lepiej - powiedział Steven.

- To chyba dobry pomysł - odparła Bianka, chociaż w głębi duszy nie zazdrościła Marii i bratu. Biorąc pod uwagę lata niesnasek między rodzinami, będą mieli twarde orzechy do zgryzienia. Z drugiej strony, nie mogła nie zauważyć prawdziwie gorących uczuć między

nimi. Dotknęła ramienia brata. - Cokolwiek się wydarzy, będę po waszej stronie.

- Dzięki. Doceniam to.

- Ja też - dodała Maria.

Steven uśmiechnął się radośnie.

- Chodź, zawiozę cię do domu, a potem Maria i ja odwiedzimy rodzinę Derricka.

- Możecie pojechać tam od razu - powiedział agent Jackson. - Dopilnuję, żeby pańska siostra dotarła bezpiecznie do domu.

- Nie musi pan - odparła Bianka. - Gdyby zechciał pan tylko wezwać taksówkę...

- Odwiozę panią - upierał się Jackson. - Niech będzie mi wolno zrobić chociaż to. W końcu ocalała mnie pani.

Dreszcz przebiegł Marii po plecach, kiedy usłyszała głos Lucii Conti. Opuściła swoją tymczasową kryjówkę w toalecie restauracji „U Antonia” i chowając się za rogiem, obserwowała zgromadzonych.

- Steven, wytłumacz mi, o co w tym wszystkim chodzi - domagała się Lucia. - Po co nas tu zebrałeś? I co tu robią Barone?

- Za chwilę, ciociu.

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedziała pogrążona w smutku Emily, wchodząc do restauracji w towarzystwie Shane'a Cummingsa.

Serce Marii wezbrało współczuciem dla kuzynki, która zajęła miejsce u boku równie przygnębionych ro-

dziców, Daniela, jego żony Phoebe i Claudii, siostry Derricka. Pomijając przykre okoliczności, wszyscy w rodzinie kochali Derricka.

- No, to teraz są już wszyscy - powiedziała Bianka, dołączając do brata. - Wydałam polecenie, żeby dziś wyjątkowo restauracja była zamknięta w porze lunchu.

- Co takiego? - zdenerwował się Salvatore Conti. - Zapomniałaś, że ta restauracja zapewnia nam utrzymanie?

- Pamiętamy o tym, ojcze - wtrącił Steven - ale mamy ważniejszą sprawę do omówienia.

- Wysłuchaj go, tatusiu - poprosiła Bianka.

- No, dobrze. Zamieniam się w słuch.

- Prawie wszyscy wiedzą już, co się stało wczoraj wieczorem - zaczął Steven, a Carlo i Moira zanieśli się płaczem. Bianka i Emily opowiedziały o kolejnych wydarzeniach, które doprowadziły w końcu do samobójczej śmierci Derricka.

- Kochałam mojego brata - powiedziała Emily - ale muszę przyznać, bez względu na to jak bardzo jest to dla mnie przykre, że to właśnie on dokonał sabotażu w fabryce. To Derrick podłożył ogień i to on uprowadził Biankę, pozorując przy tym także własne porwanie. Robił te wszystkie złe rzeczy, wiedząc, że cała wina spadnie na Contich. I nie mylił się.

Matka Emily rozszlochała się na dobre.

- Emily, czy nie widzisz, że twoja matka cierpi? Po co to wszystko teraz roztrząsać? - odezwał się wuj Paul.

- Rzecz w tym, że Derrick był chory i chociaż nie usprawiedliwia jego uczynków, możliwe, że nie posunąłby się tak daleko, gdyby od dziecka nie wzrastał w rodzinnej niechęci do Contich. Może nawet - dodała drżącym głosem - teraz by żył.

- Winisz nas za jego śmierć? - zapytał z niedowierzaniem ojciec Marii.

- Nikt z nas nie jest bez winy, wujku. Ty, ja, wszyscy - zatoczyła ręką koło. - Nie powinniśmy byli pozwolić na tyle lat nienawiści między nami.

- To nie my zaczęliśmy - przypomniał Carlo Barone.

- A któż inny, jeśli nie twój ojciec i matka, którzy zdradzili mnie i mojego brata? - odezwała się poruszona Lucia. Jej ciemne, błyszczące z emocji oczy kontrastowały z bledością twarzy i białymi włosami.

- Nieważne, kto zaczął - odpowiedziała Emily. - Nie było też nikogo, kto by z tym skończył. Podejrzewaliśmy Contich o najgorsze rzeczy - ciągnęła dalej, zwracając się teraz do rodziny Barone - ale pora z tym skończyć. Chcę, żebyśmy się wreszcie pogodzili.

Zapanowało niezręczne milczenie. Maria zaczęła się już obawiać, że to stracona sprawa, kiedy jej najstarszy brat, Nicholas, rzekł:

- Kuzynka ma rację. Czas zakończyć spory.

To rzekłszy, podszedł do Sala, Jean i Lucii Conti.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny.

Kiedy nie odpowiedzieli, powtórzył to samo przed Bianką i Stevenem, a ci skinęli głowami.

- Mój syn i bratanica mają rację - odezwał się Carlo Barone.

Maria tak się ucieszyła, że chciała wybiec i od razu go uściskać. Tymczasem Carlo Barone podszedł do Contich i skłonił się lekko.

- Pozwolę sobie przemówić w imieniu zgromadzonej tu rodziny, a także mojej córki Marii, i przyznać, że myliliśmy się w swoich podejrzeniach, oskarżając was o wszystkie nieszczęścia, które nas spotkały. Proszę przyjąć nasze przeprosiny.

Sal Conti nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby ucisnąć wyciągniętą do niego dłoń. Lucia zacisnęła dumnie wargi, skrzyżowała ręce na piersiach i odwróciła się plecami. Nie było najmniejszej wątpliwości, że oboje gardzą tym pojednawczym gestem. Ojciec Marii poczerwieniał ze złości.

- Ja przyjmuję pańskie przeprosiny, panie Barone - uratował sytuację Steven i ucisnął podaną rękę.

- Ja także - powiedziała Bianka.

- Co wy wyprawiacie? - zganiła ich Lucia.

- Pora zakończyć spory, ciociu - rzekł Steven.

- Ale przecież...

- Steven ma rację. Pogódźmy się i zapomnijmy o złej przeszłości - poparła brata Bianka.

Sal Conti spojrzął na swoją żonę, skinęła porozumiewawczo głową. Wzięła męża za rękę i razem podeszli, żeby ucisnąć dłonie Carla i Moiry, a następnie Nicholasa.

- Ciociu, daj się przekonać - ponownie zwrócił się do

Lucii Steven. -Zobacz, wszyscy się już pogodzili. Zapomnij i ty o swoich urazach i odwołaj rzuconą przed laty klątwę, aby nic nie mąciło naszej wspólnej radości.

- Tego nie zrobię. Nigdy nie przebaczę im swojego cierpienia. Czy ty wiesz, jak to boli, kiedy ktoś, kogo kochasz i z kim planujesz spędzić całe życie, ucieka nagle z kimś, kto był ci bliski jak siostra?

Marię przeszedł dreszcz. Lucia Conti była starą kobietą, ale emocje, jakie towarzyszyły temu wyznaniu, należały do młodej dziewczyny. Miłosny zawód, jakiego doświadczyła w młodości, wciąż sprawiał jej taki sam ból. Nie było szans na to, żeby ciotka Lucia kiedykolwiek ją zaakceptowała, ale jednocześnie zrobiło się jej żal.

- Lucio - wtrącił się Sal Conti - Steven ma rację. Zginął młody człowiek. To samo mogło spotkać naszą Biankę. Najwyższa pora skończyć z tą nienawiścią.

- Dość - machnęła ręką Lucia. - Róbcie sobie, co chcecie, ale ja nie widzę powodu, żeby ustąpić.

- W takim razie dam ci powód - powiedział Steven i zawołał:-Mario!

Pełna obaw, Maria wyszła z ukrycia. Przywitał ją szmer zdziwienia. Czuła, że oczy wszystkich skierowane są na jej wystający brzuch. Na miękkich nogach przeszła przez salę, a kiedy dołączyła do Stevena, wzięła ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Chciałaś powodu, żeby zakończyć rodzinny spór i odwołać swoją klątwę? Oto i on. Ja i Maria kochamy się. Spodziewamy się dziecka.

Wyznanie Stevena wywołało zrozumiałe zamieszanie, ale Maria całą swoją uwagę skupiła na ciotki Lucii. Starsza, ubrana na czarno pani tak kurczowo ścisnęła rączkę laseczki, że Maria zaczęła się już obawiać o jej kruche kości.

- Zdradziłeś mnie - wycedziła Lucia.

- Nie zdradziłem. Kocham cię, ciotciu - zapewnił Steven - i dlatego twoje błogosławieństwo jest dla mnie bardzo ważne.

Lucia Conti pokręciła głową.

- Nigdy!

- To dziecko ma w sobie krew i Barone, i Contich. Chcielibyśmy, żebyś zgodziła się zostać jego matką chrzestną. Ale czy chciałabyś, żeby twój chrześniak, lub chrześnica, przyszedł na ten świat obciążony klątwą?

Ciotka Lucia milczała dłuższą chwilę. Wargi zadrżały jej ze wzruszenia i oczyma szukała potwierdzenia w twarzy Marii.

- Czy to prawda? Chcesz, żebym była matką chrzestną twojego dziecka?

Maria podeszła do niej i ujęła jej szczupłą, pomarszczoną rękę w dłoń.

- To prawda. Jeśli urodzi się dziewczynka, damy jej imiona Lucia Angelica, po tobie i mojej babci.

- Co ty na to, ciotciu? Zgadzasz się?

Oczy Lucii zaszczyły łzami. Przytrzymała Marię za rękę, odłożyła laseczkę i chwyciła za rękę Stevena.

- Tak - odparła i uroczystym głosem dodała: - Ja,

Lucia Conti, która przeklełam ród Barone i jego potomków, niniejszym tę klątwę na zawsze odwołuję.

Rozległy się oklaski i radosne okrzyki, po czym wszyscy zaczęli się tłoczyć wokół Stevena i Marii, gratulując im i zadając mnóstwo pytań. Trwało to dłuższą chwilę do czasu, kiedy ciocia Lucia głośno zastukała swoją laską, przerywając rozmowy.

- Co się stało, ciociu? - zapytał Steven.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego wszyscy tracimy cenny czas, zadając głupie pytania. Przecież musimy zaplanować ślub.

- Co racja, to racja - zgodziła się Jean Conti i spojrzała pytająco na syna. - Zamierzacie się pobrać, prawda?

- Absolutnie - odparł rozpromieniony Steven, tuląc do siebie Marię i zadając jej to samo pytanie spojrzeniem.

- Oczywiście - odpowiedziała, mając serce przepełnione miłością i nadzieją.

- No to będziemy mieli pełne ręce roboty - podsumowała Lucia, przechodząc od razu do rzeczy. - Przede wszystkim, Moira Barone musi porozmawiać z kim trzeba, żeby z pominięciem pewnych formalności młodzi mogli się szybko pobrać. Nie mogę być matką chrzestną dziecka z nieprawego łoża. Wybacz mi, Mario, ale - tu znacząco wskazała na jej brzuch - wygląda na to, że dziecko może się urodzić lada dzień.

- Jeszcze dziś zadzwonię do arcybiskupa i poproszę go o zgodę - obiecała Moira.

Dzięki staraniom Moiry już w następny weekend, na tydzień przed Bożym Narodzeniem, Maria i Steven stanęli na ślubnym kobiercu. W kaplicy, przed Bogiem i w obecności zgromadzonych gości, przyrzekli sobie miłość i wierność aż do śmierci. Tym samym ostatecznie położyli kres wieloletniej niechęci rodziny Barone i Conti. Był to ich najbardziej upragniony prezent ślubny.

Po ceremonii zaślubin obie rodziny spotkały się na skromnym przyjęciu weselnym w sali bankietowej miejscowego hotelu. W gronie ponad trzydziestu gości brakowało Derricka, którego zdrada, a potem samobójcza śmierć kładły się cieniem na tej uroczystości. Maria nie miałaby za złe jego najbliższemu, gdyby odmówili w niej udziału.

- Sekretarka powiedziała mi, że znalezienie zespołu muzycznego czy dostawcy, który podjąłby się cateringu, jest praktycznie niemożliwe. Mają rezerwacje na rok do przodu - powiedział Steyen, wrywając Marię z zamyślenia. - Nie mogę wyjść z podziwu, jak twojej matce udało się to wszystko urządzić w tak krótkim czasie, a w dodatku tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

- Nie znasz mojej matki ani kuzynki Claudii. Jeśli im na czymś bardzo zależy, potrafią oczarować prawie każdego.

Nie ulega wątpliwości, że tym razem też im się udało, pomyślała Maria, podziwiając elegancką dekorację sali.

Stoły przykryto fantazyjnie upiętą adamaszkową tkaniną w kolorze kości słoniowej. Podobna tkanina po-

krywała krzesła, których dodatkową ozdobą była elegancka kokarda na oparciu. W kryształowych wazonach pyszniły się biało-czerwone róże przybrane gipsówką. Białe i czerwone poinsecje wyglądały niemal z każdego zakamarka sali. Na stoliku, pośród rozrzuconych świeżych różanych płatków, ustawiono sześciopiętrowy tort weselny. Małe cukrowe różyczki na krawędziach dopełniały reszty. Szczególną ozdobą na tym przyjęciu były specjalnie przygotowane dwie lodowe rzeźby, jedna z logo „Baronessy”, a druga z logo rodziny Contich. Galaretka na bazie passiflory nosiła teraz nazwę „Prawdziwa Miłość”, na cześć nowożeńców.

- Jeśli twoja matka i Claudia tak świetnie sobie radzą, to może uda mi się je namówić, żeby pracowały dla mnie - zażartował Steven.

- Marne masz szanse - odparła Maria. - Claudia i moi rodzice zaangażowali się już chyba we wszystkie możliwe akcje dobroczynne, a poza tym, z tego co mi siostry mówiły, Ethan ma własne plany względem Claudii.

- Słyszałem. Planują ślub na walentynki. - Steven przyłożył rękę do brzucha Marii i uśmiechnął się radośnie. - Oj, będzie się działo!

- Mówisz o tym tak spokojnie - zauważyła Maria.
- Nie przeszkadza ci, że Ethan żeni się z Claudią? W końcu był mężem Bianki.

- No cóż, widocznie nie byli dla siebie stworzeni. A Ethan to świetny gość.

- Co na to Bianka?

- Dla niej to też nie stanowi problemu.

Maria wyszukała wzrokiem szwagierkę, która prowadziła ożywioną rozmowę z agentem Jacksonem.

- Chyba masz rację.

- Pozwolisz, że zmienię nieco temat. Czy mówiłem ci już, że wyglądasz prześlicznie?

- Tak - roześmiała się Maria - i to nie jeden raz. Chociaż nie pojmuję, jak mogę ci się podobać z tym wystającym brzuchem.

- To proste i nie ma tu nic do rozumienia - odparł Steven, nagle poważniejąc. Spojrzenie jego niebieskich oczu było dla niej pieszczotą. - Kocham cię całym sercem. Już bardziej chyba nie można.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała wzruszona.

Kiedy popłynęły pierwsze takty muzyki, zbliżył do niej twarz i cicho zapytał:

- Zatańczymy, pani Conti?

- Oczywiście - odparła.

Steven poprowadził ją na parkiet, a ona przypomniała sobie ich pierwszy taniec na ślubie Nicholasa i Gail. To było prawie rok temu i wiele się od tego czasu wydarzyło. Postanowiła nie wracać już do przykrych wspomnień. Co było, minęło. Unoszona w takt walca w ramionach ukochanego mężczyzny mogła myśleć tylko o przyszłym, szczęśliwym życiu we dwoje.

EPILOG

Maria podała małą Lucię Biancę, która pełniła honory drugiej matki chrzestnej. Ciotka Lucia doszła bowiem do wniosku, że jest za stara, żeby podołać obowiązkom tej zaszczytnej funkcji. Z drugiej strony, zauważyła Maria, od kiedy siedem tygodni temu mała Lucia przyszła na świat, ciotka wyraźnie się ożywiła i, jak na swój wiek, tryskała energią.

Upewniwszy się, że dziecko jest w dobrych rękach, Maria wymknęła się na taras do ogrodu. Chciała nieco odpocząć od gwaru panującego na przyjęciu. Z rozkoszą wdychała rześkie powietrze, przepojone zapachem wiosennych kwiatów. Róże, stokrotki i tulipany otrząsnęły się już z zimowego odrętwienia i pławiły w kwietniowym słońcu.

Maria czuła się szczęśliwa i spełniona. Ostatnie kilka miesięcy były naprawdę niezwykle. Miała prawo czuć się wybranką losu. Największym darem niebios była miłość Stevena i narodziny jej córki, Lucii Angeliki Conti.

- Gdzie moja chrześniaczka? - usłyszała rozemocjonowany głos Nicholasa, górujący nad gwarem rozmów.

Siedząc na tarasie, mogła obserwować, co dzieje się w środku.

Steven rozmawiał z agentem Jacksonem. Od czasu pamiętnej akcji uwolnienia Bianki Reese Jackson wykorzystywał każdą sposobność, żeby być blisko niej. Nietrudno było się domyślić, że Bianka wkrótce znowu wyjdzie za mąż.

Wśród gości wyróżniała się jej starsza siostra Rita, już to z powodu swojego nieprzeciętnego wzrostu, jak i jej wysokiego, przystojnego męża, doktora Matthew Graysona. Flint, mąż jej drugiej siostry Giny, musiał opowiedzieć im coś wesołego, bo oboje się roześmiali. Chwilę potem przyłączył do nich Aleks z żoną i córeczką. Babcia Angelica zwykła była mawiać: „Kiedy Bóg zamyka przed tobą drzwi, otwiera ci okno”. W przypadku Aleksa powiedzenie to okazało się niezwykle trafne.

To samo można było powiedzieć o historii jej siostry Colleen i Gavina O'Suliivana. Koleje losu potrafią być zupełnie nieprzewidywalne. Kto by mógł przypuszczać, że Colleen po opuszczeniu klasztoru spotka na swojej drodze dawną miłość z college'u? Albo że Gail zatrudniona przez Nicholasa do opieki nad maleńką Molly, wyjdzie za niego za mąż?

Claudia i Ethan Mallory, którzy niedawno się pobrali, stali nieco z boku, jakby wciąż nie mogli się sobą nacieszyć.

Widok brata Reese'a i jego żony Celii, rozmawiają-

cych z rodzicami, szczególnie Marię ucieszył. Po latach rozłąki dobrze było go mieć z powrotem w rodzinie. Joseph od pewnego czasu znowu zaczął się uśmiechać. A to za sprawą Holly, właścicielki pizzerii, która pomogła mu się otrząsnąć po śmierci żony.

Emily też nie wyglądała na tak przygnębioną, jak była niedawno. Bez wątpienia służyło jej małżeństwo z Shane'em Cummingsiem. Tak jak Danielowi małżeństwo z Phoebe. Po śmierci Derricka, jego brata bliźniaka, dręczyły go wyrzuty sumienia i był bliski depresji. Sądząc ze sposobu, w jaki patrzył na Phoebe, najtrudniejszy okres miał już za sobą.

- Chcesz już iść? - zwróciła się do Karen, która przeprosiwszy Asha, właśnie do niej podeszła.

Karen, jej powierniczka i najbliższa przyjaciółka, była Marii szczególnie bliska. Zaawansowana ciąża sprawiała, że trudno jej się było poruszać.

- Nigdzie się jeszcze nie wybieram - odpowiedziała Karen. - Po prostu byłam ciekawa, przed kim się tu ukrywasz.

- Nie ukrywam się. Tak sobie siedzę i rozmyślam.

- O niczym smutnym, mam nadzieję. Nie zapomnę, jak gryzłaś się kłatwą ciotki Lucii.

- Jeśli o to chodzi, nadal jestem przesadna - powiedziała Maria, a widząc zaskoczenie na twarzy Karen, dodała z uśmiechem: - Teraz wierzę, że walentynki są wyjątkowo szczęśliwym dniem dla naszej rodziny.

- Kupuję to - roześmiała się Karen.

Obie odruchowo spojrzały w głąb pokoju, skąd dał się słyszeć wybuch głośnego śmiechu. To Steven i ciotka Lucia prowadzili jakąś rozmowę ku uciesze wianuszka zgromadzonych.

- Ciekawe, co ich tak rozbawiło - zainteresowała się Maria.

- Niebawem się dowiemy - odparła Karen, widząc Stevena podążającego w ich kierunku.

- Witaj, Karen.

- Cześć, Steven. Moje gratulacje. Maleńka jest prześliczna.

- Podobna do swojej mamy - odpowiedział Steven głosem, który zawsze przyprawiał Marię o szybsze bicie serca.

- Wybaczcie mi, poszukam Asha - rzekła Karen i oddaliła się.

- O czym rozmawiałaś z ciotką? - zapytała Maria.

- Wyglądała, jakby odczytywała ci jakiś edykt.

- Cóż, poinformowała mnie, że jej zdaniem powinniśmy zacząć pracować nad braciszkiem lub siostrzyczką dla naszej Lucii. - Steven uśmiechnął się łobuzersko i obejmując Marię w pasie, przyciągnął ją do siebie.

- Obiecałem, że się tym zajmę.

Maria zamruczała w rozmarzeniu i oparła głowę na jego piersi.

- Mówiłem ci już, jak bardzo cię kocham?

- Tak - odrzekła. Uwielbiała, kiedy mówił o miłości. - Ja też cię kocham.

- A może pokroimy tort, odbierzemy nasze dziecko i pojedziemy do domu?

- Czemu nie? Całkiem mi się ten plan podoba - odpowiedziała Maria i, trzymając się za ręce, wrócili razem do gości.

Maria pomyślała wtedy o babci Angelice. Z wdzięcznością w sercu przypomniała sobie jej słowa.

„Jeśli miałabym ci czegoś życzyć, to tego, żebyś tak jak ja odnalazła prawdziwą miłość. Żebyś poznała, jak to jest dzielić szczęście z mężczyzną, którego kochasz”.

Znalazłam ją, babciu, odpowiedziała w myślach Maria. Znalazłam moją prawdziwą miłość.

Była przekonana, że będzie ze Stevenem szczęśliwa i że życzenie babci się spełni.